DZIŚ 6 STR. — „ZYCIE AKADEMICKIE"

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK V. NR 50 /234

LONDYN, NIEDZIELA 16 GRUDNIA 1951 R.

JAN BIELATOWICZ

ROZMOWA Z WITOLDEM MAŁCUŻYŃSKIM



Gdyby to był wywiad dla prasy brukowej, mógłby a nawet powinien zaczynać się mniej więcej tak: Prowadzeni przez wytwornego lokaja w liberii i obrzuceni badawczym spojrzeniem u szklanych drzwi, przestępujemy wysokie progi jednego z najbogatszych hoteli świata: „Hyde Park Hotel" w Londynie.

Schodami w dół sunie strojny orszak nowożeńców. dobrze pod pięćdziesiątkę. Lśnią cylindry, lamy i puszą się futra. Wionie smuga perfum. Za perfumami, jak zawsze, ciągnie język francuski, który trzepoce się wokół stolików i po wszystkich kątach lounge'u, jak gruchające miłośnie stadka gołębi.
— Wait here! — warczy ku nam lokaj, płosząc poczynającą się bajkę. — Mr. Małcużyński will be in few minutes.

Mamy więc czas — my, to znaczy inż. Wojciech Dłużewski, przyjaciel lat szkolnych Mistrza i niżej podpisany zastanowić się, czy zdjąć płaszcze, czy nie. gdyż przenikliwe spojrzenia przekonały nas, że napiwki w tym miejscu zaczynają się od pół korony.

W dolatujących pogruchiwaniach francuskich wyróżnia się jakiś szczególny ton, który przykuwa nasz słuch i pozwala odkryć nutę dobrze znajomą: niby to francuską, ale jakby gdzieś słyszaną, bliską, po prostu polską. Ach, tak nie ma wątpliwości: to Polak rozmawia po francusku. Padają imiona polskie, aż wreszcie inż. Dłużewski stwierdza triumfalnie: „To Witold!"

Witold Małcużyński rozmawiał przez telefon ze swą żoną i córeczkami w Paryżu. I tu zaczyna się wywiad niebrukowy.

Witold Małcużyński rozmawiał przez telefon ze swą żoną i dziećmi, kiedy przyszliśmy spojrzeć z bliska na tego człowieka. W jego obrazie duchowym miłość rodziny jest rysem bardzo wyraźnym. może najgłębszym.

O artyźmie Małcużyńskiego, o jego muzycznym geniuszu wywiad ten niczego nie powie. Do hotelu „Hyde Park" przyszliśmy bowiem nie w poszukiwaniu artysty, lecz człowieka. A nawet konkretniej: Polaka. I to jeszcze nie pełna prawda. ponieważ przybyliśmy tam, aby znaleźć następcę Paderewskiego.

Małcużyński wziął pomazanie z rąk Paderewskiego. Był jego ostatnim i ulubionym uczniem a drogę swej sławy zaczynał niemal w godzinie śmierci nauczyciela, jakby ze stygnących rąk w jego ręce spłynął żar geniuszu. Od Paderewskiego nie wziął jednak Małcużyński wiedzy ni techniki muzycznej, co otwarcie i szczerze wyznaje: „Pod względem muzycznym wziąłem wszystko od prof. Turczyńskiego. Sformował mnie ten wielki pedagog i jemu zawdzięczam rozbudzenie talentu a zarazem naukę, że cel osiąga się tylko oddaniem się sprawie bez żadnych kompromisów." Od Paderewskiego natomiast wziął Małcużyński powołanie. to jest przekonanie, że artyzm ma służyć sprawie narodu i że sztuka powinna się łączyć z pożytkiem społecznym.

Urodził się Witold Małcużyński pod Wilnem, a wychował się i wykształcił w Warszawie, gdzie ukończył gimnazjum im. Jana Zamoyskiego oraz po dwa lata studiów prawnych i filozoficznych. Od wczesnej młodości pociągała go muzyka. Inż. Dłużewski opowiada, jak to w pierwszej klasie gimnazjalnej ich nauczycielka śpiewu. p. Szczepkowska, rozdała na pierwszej lekcji nuty piosenki Niewiadomskiego, pytając żartobliwie, czy by któryś z chłopców nie zaśpiewał jej prima vista. Z ławki wstał szczupły chłopczyna i dźwięcznym głosem odśpiewał całą piosenkę. „A może ty i grasz?" — spytała nauczycielka. „A gram, proszę pani." Zaproszony do fortepianu zagrał Scherzo Chopina. „A może i komponujesz?" — wykrzyknęła zdumiona pani Szczepkowska. „A tak". I dziewięcioletni Małcużyński zagrał utwór własnego układu p.t. „Tęsknotka".

Uśmiecha się teraz w Londynie do tych czasów 37-letni Witold Małcużyński, podkreślając, iż nie marzył jeszcze ani wtedy ani w wiele lat potem o sławie artystycznej. Przewidywał ją jednak prof. Turczyński, gdy w klasach konserwatorium warszawskiego rozwijał niepospolity talent Małcużyńskiego, kierując go w końcu do Paderewskiego do Szwajcarii. Wysłuchawszy młodego pianisty — był to rok 1936 — Paderewski zaprosił Małcużyńskiego na dłuższy pobyt do swej rezydencji w Morges. Spędził tam Małcużyński dwa lata, wyjeżdżając w r. 1937 na międzynarodowy konkurs chopinowski do Warszawy. Zdobył wówczas pierwsze miejsce wśród pianistów polskich i trzecie w klasyfikacji ogólnej. Był to zarazem jego pierwszy publiczny występ.

W czasie konkursu chopinowskiego poznał Małcużyński pannę Colette Gavaû jedną z lauretek, Francuzkę. W październiku roku 1939 pojął ją za żonę. Być może, że historia muzyki zapamięta wiele innych ważnych dat z życia Małcużyńskiego, jednak w jego własnej relacji najważniejsze były daty poznania przyszłej żony, ślubu i urodzin dzieci. O swoich wielkich koncertach mówi Małcużyński nieosobiście, jakby o losie, jaki go spotkał. O swojej żonie i dzieciach mówi poprzez serce.

Zanim się Piotrusia (dziś licząca lat trzy i trzy miesiące) i Krysia (dziś 8 miesięcy) urodziły, dokonało się coś, czego nie zanotuje być może historia muzyki, ale co w historii ludzkiej nazywa się ofiarą w imię miłości. Pani Colette Małcużyńska miała przed sobą karierę pianistki, lecz na rozstajnej drodze życia wybrała miłość i macierzyństwo. Miłość i macierzyństwo nie przekreśliły wszakże jej umiejętności i zamiłowań.

— Czy to prawda — pytam — że pan w żonie swej znajduje współpracowniczkę w pracy artystycznej?

— Prawda. Żonie mojej zawdzięczam więcej, niż ktokolwiek sądzi. Ona jest jedynym krytykiem, któremu daję posłuch. W jej opiekuńczej obecności doskonalę swoją technikę i opracowuję interpretację. Niezapomniane są dla mnie zwłaszcza tegoroczne wakacje z rodziną w Pirenejach — pierwsze moje powojenne wakacje. wypełnione zresztą uczciwą pracą.

Puszczony w świat przez prof. Turczyńskiego Witold Małcużyński szedł już dalej własną drogą. Nie poddawał się niczyjemu stylowi. Wypracowywał styl własny. kształcił się sam na sam z utworami muzycznymi. Stąd indywidualizm — pierwsze słowo sztuki tego artysty. Nie jest to jednak indywidualizm. odrzucający krytykę i nie tęskniący do doskonalenia. Małcużyński bowiem całą ufność złożył w ręce żony. która wzamian poświęciła swoją własną karierę artystyczną dla jego talentu. Kiedy więc Witold Małcużyński siada przy fortepianie, staje za nim zawsze duch opiekuńczy jego żony.

Czy Małcużyński wyróżnia się czymś szczególnie jako Polak? Wszak nie ma bardziej międzynarodowej sztuki, jak muzyka. Od jedenastu lat nasz wirtuoz jest co dzień w innym mieście, co tydzień w innym kraju i co miesiąc na innym kontynencie. Żona jego jest Francuzką, otoczony jest stale ludźmi obcymi, posiada przyjaciół cudzoziemców. paszport urugwajski, najwięcej serca dają mu w Południowej Ameryce.

Otóż Małcużyński może służyć za idealny model psychiczny Polaka. Nie ogranicza się to do temperamentu, struktury duchowej i kultury macierzystej. Artysta żyje nadal życiem polskim. W czasie rozmowy w „Hyde Park Hotelu" powracał co chwilę do spraw i nazwisk współpracowników „Życia" i „Kultury", milej mu było mówić o polskich podwórkach w Londynie, niż o wielkich pianistach i salach koncertowych świata. Więcej jeszcze: wydaje się, że w Małcużyńskim narasta poczucie — (wielkie to słowo, ale prawdziwe:) — misji polskiej. To jest właśnie ów chleb macierzysty, który wziął po Paderewskim, zaczyn nosząc w sobie od urodzenia.

Pierwszy koncert Małcużyńskiego na arenie międzynarodowej miał miejsce w styczniu 1940 w sali Gavotte w Paryżu. Było to w kilka tygodni po zgłoszeniu się artysty do służby wojskowej w armii polskiej we Francji. Skutkiem perswazji Paderewskiego Małcużyńskiemu nie wydano munduru z magazynu, lecz wykorzystano jego usługi w właściwszy sposób. Małcużyński koncertował dla oddziałów polskich. Występy te wspomina artysta z sentymentem. szczególnie koncert w Rennes, dokąd „zjechał cały Coëtquidan".

Kiedy Małcużyński zabłysnął talentem w Stanach Zjednoczonych, proponowano mu zmianę nazwiska i paszportu. Pozostał przy własnym nazwisku, które jest być może trudne, ale jakże muzyczne! Pozostałby i przy paszporcie, ale los ułatwił mu związane z nim przewlekłe formalności przy zachowaniu narodowości. Oto po jednym z koncertów w Urugwaju prezydent tamtejszej republiki, którego żoną jest wybitna pianistka, zapoznawszy się z trudnościami Małcużyńskiego, posłał mu w prezencie paszport dyplomatyczny. nie determinujący narodowości ni przynależności państwowej. Jeszcze raz w ostatnim roku wojny próbował artysta wstąpić do wojska polskiego w W. Brytanii. Po wojnie ofiarował szereg koncertów na polskie cele.

W świecie Małcużyński posiada sławę przede wszystkim jako chopinista. „Wiem, że publiczność oczekuje ode mnie Chopina dlatego, że jestem Polakiem i nie uchylam się też od wypełniania mych programów w lwiej części utworami Chopina, choć muszę się bronić przed etykietą specjalisty." (Po Chopinie najmilsze są Małcużyńskiemu utwory Bacha, Beethovena, Brahmsa i Liszta).

Skromność artystów jest zwykle zwodnicza. Pod przesadzoną maską uśmiechu kryje się zazwyczaj duma. Ale Małcużyński z pewnością nie jest obłudny w swej prostocie i skromności. O sztuce swojej, przed którą wszędzie w świecie chylą czoła. powiada: „mój zawód". O triumfalnej drodze sławy wspomina bez entuzjazmu. Trzeba mu podpowiadać. gdy pomija swoje ważniejsze koncerty.

Po upadku Francji dostał się Małcużyński poprzez Portugalię do Południowej Ameryki. Tam to w ciągu dwu lat dojrzał jego talent i wydał pierwsze owoce światowej sławy. Tam też poznał artysta znakomitego skrzypka Jehudi Menuhina. który oceniwszy w lot talent pianisty i zaprzyjaźniwszy się z nim dopomógł mu do wyjazdu z koncertami do Stanów Zjednoczonych. Stamtąd zaczął się dla Małcużyńskiego bity gościniec sławy. A więc debiut w Carnegie Hall. koncerty z orkiestrami w Nowym Jorku. Bostonie. Chicago, z Rodzińskim i Kussewitzkym. Na „Ile de France" z transportem wojska przybył artysta w roku 1945 do W Brytanii, gdzie od Wigmore Hall zaczęła się jego droga poprzez Albert Hall. Royal Festival Hall i sale wielu miast prowincjonalnych. Odtąd Małcużyński. jak w starożytnej legendzie o Demeter i Korze przez pół roku bawi na półkuli zachodniej. a przez drugą połowę na wschodniej. Daje koncerty we wszystkich prawie krajach świata — z wyjątkiem państw za żelazną kurtyną. a więc i Polski. co artysta podkreśla z głębokim żalem. Prócz koncertów publicznych nagrywa również Małcużyński płyty. posiadając kontrakt z firmą „Columbia Records".

— Czy sale koncertowe i publiczność — pytam — mają jakiś wpływ na artystę?

— Oczywiście — odpowiada Małcużyński — i to bardzo znaczny. Jestem ogromnie wrażliwy na reakcję publiczności. co zresztą bynajmniej nie wyraża się w oklaskach. lecz w nieuchwytnym fluidzie jaki się wytwarza między krzesłami a estradą. Artysta reaguje inaczej na każdą publiczność. a publiczność inaczej przyjmuje każdego artystę.

Osobiście najbardziej lubię Albert Hall i publiczność londyńską. Te sympatie podziela też mój przyjaciel Jehudi Menuhin. Royal Festival Hall jest salą przyjemną i bardzo akustyczną. ale wolę Albert Hall z jego strażackością. Obok publiczności londyńskiej stawiam mimo zasadniczej różnicy temperamentów publiczność południowoamerykańską. No i oczywiście paryską.

— Jak wygląda Pański dzień pracy?

— Otóż to. To sprawa najważniejsza i bardzo bolesna. Podróżując po świecie nie ma prawie czasu na pracę poza koncertami i bezpośrednim przygotowaniem do nich (są to jakby koncerty przy próżnych salach). Ideałem mego zawodu byłby coroczny wypoczynek czy raczej odosobnienie na okres 3 — 4 miesięcy. Miałem pierwsze takie wakacje w roku bieżącym, spędzając je z rodziną w kraju Basków pod Pirenejami na wsi zabitej deskami, gdzie jedynym odgłosem wielkiego świata był ryk osłów. Mogłem tam odpoczywać, chociaż wiodłem bardzo rygorystyczny tryb życia, grając dziennie po 6 do 8 godzin.

— W jaki sposób Pan sprawdza swoją grę?

— Sprawdza mnie przede wszystkim żona. Poza tym istnieje nowoczesny sposób kontroli, a mianowicie „tape" czyli nagrywana taśma. Pełnym sprawdzianem jest jednak dopiero przyjęcie publiczności. Szeroka publiczność jest najważniejsza — nie wirtuozi, prawiący sobie nawzajem komplementy. nie krytycy, często niezwykle ciekawi, lecz ogromnie sprzeczni w sądach i nawet nie przewrażliwieni melomani. Po prostu szara publiczność — to są właściwi adresaci moich koncertów.

— Jakie są radości i przykrości Pańskiej sztuki?

— Radość jest jedna, ale wielka: zadowolenie z pracy, chociaż nie jest ono nigdy pełne. A przykrości? Są to raczej bardzo proste niewygody: ciągłe napięcie nerwów, zmiany klimatów, kuchni, surowa dyscyplina życia, wieczna samokontrola i nieustanna praca.

Dziwna rzecz: artysta, ale gdy ściskałem na pożegnanie jego rękę, miałem wrażenie, że jest to dłoń człowieka twardo pracującego.

Jan Bielatowicz

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

GWASZ

HERMINII NAGLEROWEJ

Bóg mocny chłosta, chłosta
ziarenko zboża — świat.
Mądrość zamknięta w ostach,
a w księgach — wiatr.

Rozpacza, rozpacza ziarenko,
płacze ziemia i woda płacze.
Święty Franciszek przemknął
jak świętojański robaczek.

Cały świat Bóg wybawił
kroplą słoną.
Śpiewa Hiob i śpiewa Dawid —
mędrcy dzwonów.

Dawid: „Kiedy wykrzyknę Imię Twoje własne,
modlitwa moja znajdzie Cię rano."

Hiob: „A kiedy w kręgach prochu zasnę,
jeśli poszukasz mnie, nie znajdziesz mnie rano."

Księgi! huczycie prosto w twarz
Mądrością w prochu wylęgłą...
Święty Franciszku, ten zgrzebny gwasz
Tobie odkrywam — nie księgom.

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

NUMER GWIAZDKOWY

„ŻYCIA"

(Ostatni w roku bieżącym jako Nr. 51-52)

ukaże się w tygodniu przedświątecznym w objętości 8 stron druku i zawierał będzie m. in. następujące utwory literackie:

Czesława Bednarczyka „Księgi", Zofii Bohdanowiczowej „x x x", Mariana Bohusza Szyszki „Jankiel Adler", Marii Czapskiej „Święty Kazimierz w Paryżu", Zofii Kossak „Narodziny nadziei", Janusza Kowalewskiego „Trzeci dzwonek", Stanisława Kościałkowskiego „Betlejki grodzieńskie i suwalskie", Józefa Łobodowskiego „Hymn o żywiołach", Beaty Obertyńskiej „Przed jutrem", Bronisława Przyłuskiego „Święty Krzysztof", Wacława Radulskiego „Katharsis fredrowskie", Zofii Romanowiczowej „Legenda o Gabryelu", Michała Sambora „Bar pod Zmierzchem", Teresy Skórzewskiej „O sztuce religijnej", Wita Tarnawskiego „Od Partenonu do bazyliki św. Piotra", Stanisława Vincenza „Święty Jurij", Marii Winowskiej „O istocie modlitwy", ponadto prace: Jana Bielatowicza, Teodora Parnickiego, Wojciecha Wasiutyńskiego, Jana Wepsięcia i innych autorów.

Numer zdobią rysunki: Wlastimila Hoffmana, Mariana Bohusza Szyszki i Zygmunta Turkiewicza. Cena 2/-.

Następny numer, pierwszy w Nowym Roku ukaże się z datą 6 stycznia 1952.

KS. BISKUP GAWLINA O ROLI EMIGRACJI

(Z kazania radiowego, wygłoszonego z racji rozpoczęcia polskich nabożeństw radiowych we Francji)

„...Emigracja jest niczym innym jak zapleczem Kraju i jego dopełnieniem. Jesteśmy pełni podziwu dla żelaznej woli odbudowy Kraju dla jego osiągnięć, które są wynikami niezłomnego ducha narodu, a nie nakazu obcych. A przecież powinniśmy dopełniać to, czego nie dostaje utrapionej Polsce. Nad tym pracujemy każdy według swej mocy, profesor czy rolnik, kapłan, student czy rzemieślnik. Jesteśmy dopełnieniem Kraju.

Czy emigracja to zadanie spełnia? Z wyjątkiem znanych egoistów, wśród których powstały żelazne kurtyny serc powaśnionych, zrozumiała emigracja swoje powołanie dobrze. Oby je pojmowała coraz głębiej i pełniej. Na naszym terenie religijno-moralnym sprawy postępują z pewnym oporem, a przecież łączność nasza i błogosławieństwo Boże są oczywiste.

...Jesteśmy, jak powiedziałem, dopełnieniem Kraju. Suplementum humanum et divinum. Nie każdy jest intelektualistą, nie każdy ma środki, by poprzeć zbożny cel. Ale każdy może Polsce pomagać modlitwą. Przyjął się piękny zwyczaj, że Polacy na emigracji o godz. 9-ej wieczorem odmawiają Ojcze nasz, Zdrowaś, Chwała Ojcu na intencję Ojczyzny. Emigracja pojmuje powagę chwili i swój obowiązek wobec Ojczyzny.

...Gdybyśmy materialistami byli nie wierzylibyśmy w zwycięstwo Boże. Patrząc jednak wierzącym okiem na dzieje ludzkości, widzimy w nich działanie Ducha Świętego. „Digitus paternae dexterae". I tak, dla przykładu, poganin Cezar sądził tylko, że romanizuje Gallię, podczas gdy ją w rzeczywistości dla Chrystusa przygotowywał.

Tylko w głównej kwaterze Ducha Świętego znane są projekty i wielkie rzuty historii. Mężowie zaś stanu wykonują często bezwiednie zlecenia Boże, uważając je za swoje pomysły, i nie znając wcale ich znaczenia dla całości programu Bożego. A wiele antynomii historycznych rozwiąże się we wspaniałej logice Ducha Świętego. Tak też na pewno ma się z obecną sytuacją świata. To, co niejednemu klęską się wydaje, może być początkiem wielkiego tryumfu."

MARIA JOANNA PIOTROWSKA

„PODRÓŻ DO LOURDES"

Jesienią roku 1943-go dr. Alexis Carrel, znakomity biolog i pisarz francuski, przeczuwając swą bliską śmierć, wypowiedział takie słowa: „Pragnąłbym, ażeby Bóg użyczył mi jeszcze dziesięciu lat pracy. Wydaje mi się, że na podstawie tego wszystkiego czego się nauczyłem i do czego doszedłem drogą doświadczeń, mógłbym ustalić w sposób naukowy, jakie zachodzą związki pomiędzy duchem a materią i w ten sposób wykazać słuszność nauki chrześcijańskiej i jej dobrodziejstwo..... Chcę wierzyć i wierzę we wszystko co Kościół Katolicki podaje nam do wierzenia, i nie przedstawia to dla mnie żadnej trudności, gdyż nie znajduję w tym żadnej prawdziwej sprzeczności z pewnymi zasadami nauki ścisłej."

Oto słowa, które w ustach uczonego o umysłowości tak wszechstronnej i wnikliwej, o wiedzy pogłębionej i popartej doświadczeniami całego życia, nabierają specjalnego znaczenia. Z a p r z e c z a j ą one szerzącemu się dziś powszechnie przeświadczeniu, że doniosłe dokonania i odkrycia w dziedzinie nauk ścisłych nie godzą się z wiarą w Boga.

Przeciwko tej fałszywej i niebezpiecznej tezie występuje zresztą dr. Carrel w swoim podstawowym dziele naukowym p. t. „L'Homme, cet Inconnu" (Człowiek - istota nieznana), wykazując, że właśnie powodem kryzysu moralnego, w jakim znajduje się ludzkość, jest dążność do zdobywania świata materii z zupełnym pominięciem dziedziny duchowej. Człowiek nie może nadążyć zawrotnemu tempu w jakim odbywa się postęp w dziedzinie mechanicznej. Stąd ta olbrzymia dysproporcja, która sprawia, że w cywilizacji nowoczesnej nie czujemy się szczęśliwi. Ciekawość ludzka powinna zmienić swój kierunek. Powinna przestawić się z dziedziny fizyki i filozofii na drogę, prowadzącą nas w mistyczne sfery naszej duszy, która domaga się „wzniesienia umysłu ku istocie, będącej źródłem wszystkiego, ku tej potędze i ośrodku siły, którą mistycy chrześcijańscy nazywają Bogiem".

Nie było danym dr Carrelowi dokończyć ostatniej pracy, podjętej z początkiem drugiej wojny światowej. Umiera w wieku lat siedemdziesięciu, pozostawiając obfity materiał naukowy, zamknięty w notatkach. Rękopisy te zbiera i porządkuje wdowa po Zmarłym, pani Anna Carrel i przekazuje do druku paryskiej firmie wydawniczej „Plon", która w roku 1950-ym wydaje je w formie książki pod tytułem: „Reflexions sur la Conduite de la Vie". Dzieło to jest jak gdyby uzupełnieniem i pogłębieniem „Człowieka-istoty nieznanej". Niewątpliwie będzie ono przyczynkiem do nowych badań, rzucając ciekawe światło na szereg problemów tak biologicznych jak i psychologicznych. Przemówi jednak bardziej do ludzi o zmysłach ścisłych, przyzwyczajonych do rozumowania metodą naukową, choćby z tego względu, że język techniczno-naukowy, którym dr Carrel wyraża swe myśli, będzie dla nich bardziej zrozumiały.

Dla nas natomiast, dla przeciętnych inteligentnych czytelników, pozostała inna spuścizna myślowa wielkiego uczonego. Jest nią nieduża książeczka pod tytułem „Le Voyage de Lourdes", stanowiąca zbiór wspomnień, kartek z pamiętnika i rozmyślań dr Carrela w różnych okresach jego życia. Książkę tę w opracowaniu pani Anny Carrel wydała również firma wydawnicza PLON, w roku 1949-ym.

Wydaje się, że dla zwykłego człowieka, zagubionego w epoce samolotów odrzutowych i rozbijania atomu, przerażonego dosięgalnością Marsa i samotnego w świecie ogólnego zwątpienia w ideały chrześcijańskie, książka ta może być uspokojeniem i otuchą. Jest ona jakby powiewem świeżego powietrza w dusznej i groźnej atmosferze nadciągającej burzy.

* * *

W roku 1903-cim młody dr. Carrel przyłącza się do pielgrzymki chorych, udających się do Lourdes. Jakkolwiek formowany w szkole na religii katolickiej, po latach ścisłych studiów naukowych i badań w dziedzinie anatomji staje się człowiekiem niewierzącym. Wszystko to, czego nie można dowieść za pomocą metody ściśle naukowej przestaje mieć dla niego jakąkolwiek pewność. Powoduje nim jednak pasja i ciekawość badacza, który nie może przejść mimo zjawisk zachodzących w życiu, nie przyjrzawszy się im z bliska i nie zbadawszy ich istoty. Ta postawa zresztą wobec zjawisk życia będzie charakteryzowała całą karierę naukową dr Carrel'a. W dziele swoim „L'Homme, Cet Inconnu", w trzydzieści lat później, tak napisze: „W bezmiarze naszego świata wewnętrznego wszystko ma swoje znaczenie. Nie możemy wybierać tylko tego, co odpowiada naszym upodobaniom, naszej fantazji czy formie naukowej i filozoficznej naszego umysłu. Trudność lub niejasność jakiegaś zagadnienia nie jest wystarczającym powodem, ażeby to zagadnienie lekceważyć".

Do cudownych uzdrowień w Lourdes dr Carrel odnosi się ze sceptycyzmem, nie zgadza się jednak ze stanowiskiem większej części doktorów, którzy wobec zjawisk tam zachodzących zachowują w owych latach dyskretne i niechętne milczenie. Podróż między chorymi sprawia dr Carrelowi wybitną przykrość, jest to jednak jedyna droga do zebrania autentycznych dokumentów tego niepokojącego zjawiska, powtarzającego się rok rocznie.

Poza apteczką podróżną dr. Carrel zaopatruje się również w aparat fotograficzny, notatnik a nawet pudełko z farbami do malowania. Moja rola ogranicza się tylko do „roli precyzyjnego przyrządu, który ma ustalić wszystkie fakty" — pisze

Wśród trzynastu pielgrzymów znajdują się chorzy, dotknięci najrozmaitszymi niedomaganiami. Dr Carrel stara się zbadać jak największą ich liczbę przed przyjazdem na miejsce przeznaczenia i zasięgnąć informacyj o ich chorobach. Przypadek jednak sprawia, że specjalną opieką musi otoczyć chorą, której stan jest tak groźny, że zachodzi obawa, czy utrzyma się przy życiu przez następnych kilkanaście godzin. Jest nią młoda dziewczyna, Marie Ferrand, która pochodząc z rodziców chorujących i zmarłych na gruźlicę, sama od siedemnastego roku życia przejawia wszystkie oznaki tej choroby. Przez ostatnie osiem miesięcy gruźlica umiejscowiła się w otrzewnej i stan ogólny chorej jest tak groźny, że doktorzy odmówili operacji.

Dr Carrel bada chorą niesłychanie skrupulatnie tak podczas drogi jak i później, na miejscu, przed kąpielą w wodzie ze źródła, i stwierdza najoczywistsze objawy gruźlicy otrzewnej, przede wszystkim więc wyraźne nabrzmienie brzucha i zbieranie się ropy pod skórą. Chora jest w tak okropnym stanie, że poprostu wydaje się, że umiera mu w rękach. „Jeśli ta dziewczyna wyzdrowieje — mówi do swego przyjaciela — uwierzę w cudy i zostanę mnichem".

Trzeba zaznaczyć, że dr Carrel snuje opowiadanie w trzeciej osobie, nazywając się „doktorem Lerrac", co nadaje stylowi barwy i płynności. W słowach prostych i pięknych maluje nastrój tego miejsca świętego, spokój i świeżość przyrody je otaczającej, oraz wzruszenie i ekstazę, które są udziałem ludzi.

Nadchodzi godzina kąpieli i modłów. Cisną się przed Bazylikę w tłumnym pochodzie nieszczęśliwcy. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Dotknięci najokropniejszymi chorobami, oszpeceni, zdeformowani. Wiozą na wózkach i niosą na noszach tych, którym kalectwo nie pozwala iść o własnej sile. Ksiądz klęka na kamiennych płytach, wznosi ręce do nieba i intonuje modły błagalne: „Panno Święta uzdrów naszych chorych"... „Panno Święta uzdrów naszych chorych" — odpowiada tłum krzykiem potężnym.

Stan Marie Ferrand jest tak niebezpieczny, że odmawiają jej kąpieli w wodzie ze Źródła. Podważą ją tylko blisko pod Grotę, przed kratę żelazną, osłaniającą statuę Panny Najświetszej.

„Ksiądz powstaje z klęczek. ‚Prośmy, bracia, ramionami wzniesionymi na znak krzyża'. I oto wszystkie ramiona się wyciągają. Przez tłum przechodzi jakby westchnienie." Dr. Carrel poddaje się wrażeniu czegoś nieopisanie potężnego i nieuchwytnego, czegoś „co nie podpada pod żadną analizę, co ściska go za gardło i kurczy ramiona Nie wiedząc dlaczego ma ochotę do płaczu". Przygląda się bacznie chorej, Marie Ferrand „wyciągnięta na noszach, bezwładna, z piersią podnoszącą się w szybkim oddechu, wydaje się być bliska agonii".

I oto nagle dr.Carrel spostrzega zmianę. Śmiertelna bladość jakby ustępuje, wyraz twarzy się zmienia, a koc, przykrywający chorą, jakby lekko zapadał się tam gdzie przedtym pęczniało nabrzmienie. Serce chorej bije jeszcze szybko, ale regularnie. „Czuję się bardzo dobrze, nie jestem zbyt silna, ale czuję, że jestem uzdrowiona" — mówi Marie Ferrand.

Dr. Carrel przeprowadza następnie jaknajdokładniejsze badania chorej. Prosi kolegów o ustalenie diagnozy. Nie ulega wątpliwości, Marja Ferrand jest uzdrowiona.

Mimo najwidoczniejszych oznak, Dr. Carrel odrzuca jeszcze ciągle hipotezę cudu. Doszukuje się jakiegoś błędu czy niedokładności w uprzednim badaniu. Fakt jednak pozostaje faktem a to co jeszcze doniedawna było dla niego absurdem, stało się realnością. „Jakaż to lekcja pokory" — pisze dr. Carrel. — W podróży swojej do Lourdes Lerrac dokonał najwspanialszego z odkryć".

Jakkolwiek „mieszanie się w sprawę cudów" było w owych latach niezwykle źle widziane w świecie lekarskim i mogło nawet wpłynąć ujemnie na dalszy bieg kariery uczonego, Dr. Carrel zdaje jaknajskrupulatniejsze sprawozdanie z faktu uzdrowienia i potem występuje w tej sprawie na łamach prasy.

W „Człowieku-Istocie Nieznanej" dr. Carrel powraca raz jeszcze do zjawiska cudownych uleczeń w Lourdes. „Dowodzą one — pisze — istnienia procesów organicznych i zmysłowych, których nie znamy, i wykazują, że pewne stany mistyczne takie, jak stan modlitwy, wywołują wyniki całkiem wyraźne... Fakty te mają przemożne znaczenie. Potwierdzają one obiektywne znaczenie aktywności duchowych, którymi, jak dotąd, hygieniści, doktorzy, wychowawcy i socjologowie nie myśleli nawet, że należałoby się zająć."

* * *

Dwie następne części zbiorku „Le Voyage de Lourdes" noszą tytuł: „Fragmenty dziennika" i „Rozmyślania" i obejmują okres czasu: luty 1938 — lipiec 1944.

Wojna zastaje dr. Carrel w Nowym Yorku, gdzie w Instytucie Badań Medycznych Rockefellera dokonuje nowych odkryć w dziedzinie biologji. Mimo daleko posuniętej pracy badawczej dr. Carrel powraca do Francji. Sytuacja, w jakiej pogrążony jest jego kraj i cała Europa, napawa go przerażeniem. Widzi kompletną degenerację świata zachodniego, przejawiającą się przede wszystkim w zaniku moralności i etyki chrześcijańskiej. Wtedy to w swoim dzienniku stawia taką pesymistyczną diagnozę: „Cywilizacja zachodnia jest jak człowiek drążony od długiego czasu chorobą. Nie ma znaczenia jaki organ jest najpierw zaatakowany — czy to będzie serce, nerki, mózg czy wątroba, który pierwszy zawiedzie — śmierć pewna przyjdzie w swoim czasie." A jednak dr. Carrel widzi możliwość ratunku przed tą złowrogą przyszłością: „Jedynym cementem który może zespolić ludzi, jest miłość. Lecz miłość wymaga nie tylko wysiłku kochania bliźniego, ale i wysiłku by samemu stać się godnym kochania"...

„Istnieje wielka różnica między Jezusem z Nazaretu a Newtonem, gdyż odkrycie prawa miłości wzajemnej jest nieskończenie ważniejsze od prawa grawitacji."

We fragmentach pamiętnika znajdujemy oceny teoryi i systemów politycznych, diagnozę przyczyn upadku Francji, dociekania natury filozoficznej nad rasą ludzką, państwem, rodziną. Ale przede wszystkim przebija z tych notatek gorące, szlachetne pragnienie przyjścia z pomocą ludzkości na jej niebezpiecznym zakręcie.

Książka „Le Voyage de Lourdes" stanowi z jednej strony jak gdyby logiczne poprzedzenie dzieła „L'Homme, Cet Inconnu", a z drugiej jest jego najwłaściwszym zamknięciem. Nie wydaje się bowiem rzeczą możliwą, ażeby bez podniosłego przeżycia duchowego z czasów młodzieńczych w Lourdes, dr. Carrel mógł tak wszechstronnie pogłębić obserwację nad istotą ludzką. Natomiast z drugiej strony, tylko przez fakt osiągnięcia tych wyżyn myśli naukowej i dojrzałości wewnętrznej, mógł u schyłku swego życia z całą pokorą napisać w „Rozmyślaniach":

„Panie, kieruj moim życiem, ponieważ jestem zagubiony w ciemności. O Boże mój, jakże żałuję że nic nie zrozumiałem z życia, że starałem się zrozumieć rzeczy, których nie warto nawet próbować rozumieć. Życie nie polega na zrozumieniu, ale na miłości, na niesieniu pomocy drugim, na modlitwie, na pracy. O spraw, mój Boże, żebym jeszcze nie było za późno."

M. J. Piotrowska

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Z POBYTU KS. BISKUPA GAWLINY WE FRANCJI. W czasie ostatniego pobytu swego we Francji (w listopadzie) ks. biskup Gawlina zwiedził internat dla chłopców, prowadzony w Bethune przez ojców oblatów, szkołę gospodarstwa dla dziewcząt w Fouquieres, prowadzoną przez siostry sercanki. W Hesdigneul w czasie uroczystości poświęcenia kaplicy i domu księży Chrystusowców, Ks. Biskup przypomniał w kazaniu, że ks. kard. Hlond w trosce o dusze emigrantów polskich powołał do życia Towarzystwo Chrystusowe, którego celem jest wykształcenie duchowieństwa dla pracy duszpasterskiej wśród wychodźstwa polskiego. Ks. biskup Gawlina wyraził radość z faktu powstania w Hesdigneul domu księży Chrystusowców. W Bruay, polskiej parafii obsługiwanej przez księży Chrystusowców, Ks. Biskup wyraził gorące życzenie, aby wśród emigracji polskiej było jak najwięcej powołań kapłańskich i zwrócił się ze szczególnym apelem do matek polskich, aby modlitwami i wzorowym wychowaniem dzieci przyczyniły się do zwiększenia się liczby powołań.

CÓRKA GENERAŁA POLSKIEGO ZAKONNICĄ. Córka generała Klemensa Rudnickiego, siostra Maria Krystyna ze zgromadzenia sióstr misjonarek franciszkanek, wyjechała do Libii na pracę misyjną. Siostra Maria Krystyna po odbyciu nowicjatu we Francji przeszła specjalne kursy przygotowawcze do pracy misyjnej.

OTWARCIE ROKU AKADEMICKIEGO KULu. W niedzielę 4 listopada odbyła się w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (KUL) w Lublinie uroczysta inauguracja roku akademickiego rozpoczęta Mszą św. w kościele akademickim. Kazanie wygłosił ks. prymas Stefan Wyszyński, który wziął też udział w inauguracji w uniwersytecie.

W ubiegłym roku akademickim studiowało na KULu 2.614 osób na pięciu wydziałach: teologicznym, prawa kanonicznego, prawnym, nauk humanistycznych, filozofii chrześcijańskiej. Na wydziale humanistycznym studiowało 1.078 mężczyzn i 600 kobiet. Uniwersytet posiada 26 profesorów, 24 wykładowców niehabilitowanych i 17 adiunktów.

Podstawę materialną zapewnia uniwersytetowi Towarzystwo Przyjaciół KULu, które rozrosło się do takich rozmiarów, że nie tylko jest zdolne pokrywać 96 procent wydatków samego uniwersytetu (opłaty studenckie pokrywają 4 procent), ale również wydatnie opiekuje się młodzieżą studiującą zapewniając jej pomoc żywnościową, leczenie, stypendia mieszkaniowe.

Przy uniwersytecie działa Towarzystwo Naukowe, liczące 127 członków. W ubiegłym roku Towarzystwo to zorganizowało dwa cykle wykładów: 1) „Wartości życiowe religii" i 2) „Wytwórczość a piękno".

BISKUPI AMERYKAŃSCY W OBRONIE PRZEŚLADOWANYCH. Oprócz zbiorowego listu pasterskiego biskupi amerykańscy wydali w dniu 18 listopada w czasie swych dorocznych obrad w Waszyngtonie specjalną rezolucję w sprawie prześladowania religii za żelazną kurtyną. Rezolucja mówi m.in.: „Biskupi Stanów Zjednoczonych wyrażają wobec całego świata bezmierny podziw dla bohaterów wspólnej naszej Wiary: biskupów, kapłanów, zakonników i wiernych za żelazną kurtyną w Europie i Azji, którzy oddają swą krew dla Chrystusa i ideałów ludzkiej wolności. W długiej historii prześladowań wyznawców Chrystusa nie ma sławniejszego rozdziału, jak ten, który piszą oni obecnie. Opłakujemy naszych męczenników, zamordowanych w Rosji i w czternastu krajach, opanowanych przez komunistów. Przesyłamy nasze braterskie współczucie i zapewnienie naszych gorących modłów niezliczonym tysiącom wydanych na tortury w kazamatach Europy i Azji. A wobec sądu opinii świata dajemy świadectwo cierpieniom nieugiętych dusz, milionom ich, które w samym ośrodku prześladowania otwarcie wyznają swą lojalność dla Boga, Chrystusa, Kościoła i wspólnych ideałów cywilizowanej ludzkości.

Serca nasze wypełniają się bólem wobec obojętności tak zwanych chrześcijańskich rządów na to straszliwe prześladowanie, jak również bezskuteczności używanych dotych czas ludzkich środków zatamowania prześladowań. Jesteśmy również wstrząśnięci wyraźną nieudolnością prasy świeckiej w informowaniu publiczności o prawdziwym stanie prześladowań".

STRATA WŚRÓD ETNOLOGÓW KATOLICKICH. W wypadku zginął profesor etnologii na holenderskim uniwersytecie katolickim w Nijmegen o. Bernard Vroklage ze zgromadzenia werbistów. Pracę doktorską napisał na temat „Idea Odkupienia w buddyzmie i chrześcijaństwie". W latach 1933 — 1938 badał ludy na wyspach Timor i Flores i ogłosił o nich pracę. Brał też udział w przygotowaniach ogromnego, 15-tomowego dzieła poświęconego religiom ludzkości; dotychczas ukazało się cztery tomy, pierwszy napisany przez zmarłego p.t. „Religia ludów pierwotnych".

DNI STUDIÓW AKCJI KATOLICKIEJ W BELGII. W Brukseli odbyły się dni studiów nad problemami kina, radia i telewizji, zorganizowane przez Akcję Katolicką mężczyzn. W ostatnim zebraniu wziął udział nuncjusz apostolski w Belgii, mons. Fernando Cento, który zachęcił zebranych do czynienia starań w celu podboju tych potężnych środków urabiania ludzi w służbę prawdy i nauki ewangelicznej.

POMOC DUCHOWNA DLA EMIGRANTÓW. Ojciec święty ustanowił urząd Delegata dla Emigracji, zależny od św. Kongregacji Konsystorialnej. Ustanowienie nowego urzędu ma na celu usprawnienie opieki duchownej nad emigrantami wszystkich krajów.

ZNACZEK POCZTOWY KATOLICKI W JAPONII. Ostatnio odbudowano w Nagasaki kościół Matki Boskiej Męczenników. Rząd japoński wypuścił znaczek pocztowy z wizerunkiem kościoła.

ROZWÓJ SZKÓŁ KATOLICKICH W JAPONII. W roku 1940 w Japonii było 9 szkół elementarnych z 2.505 uczniami, 40 szkół średnich z 18.073 wychowankami i 18 szkół specjalnych z 1.424 studiującymi. Obecnie jest 36 szkół elementarnych z 9.540 uczniami, 63 szkół średnich z 26.108 wychowankami, 35 szkół wyższych z 10.500 studentami, 10 szkół zawodowych z 1.016 uczniami. W tej liczbie pobierających naukę jest 14.045 młodzieży męskiej, 33.110 młodzieży żeńskiej.

Z KRAJU

BANDYTYZM I GORZEJ NAWET...

Jak wiadomo, komuniści w Kraju „zlikwidowali — jak mówią — szajkę gangsterów" skazując Burmajstra i H. Wysockiego na karę śmierci i innych na kary więzienia. Skazani „dokonywali w okolicach Warszawy napadów terrorystyczno-rabunkowych". Jak donosi „Trybuna Ludu", „młodzi gangsterzy wywodzą się z specyficznego środowiska tzw. „bikiniarzy" (od atolu Bikini, gdzie Amerykanie dokonali doświadczeń atomowych — przyp. Red.) — hołdujących zasadom ‚amerykańskiego stylu życia'. Kształtując swój światopogląd na wrogich antypolskich audycjach ‚Głosu Ameryki', BBC itp., przesiąkli oni ideologią faszystowską, która pchnęła ich na drogę grabieży i krańcowej demoralizacji. Członkowie szajki, wchłaniając łgarstwa z audycji amerykańskich i z materiałów amerykańskiego Ośrodka Informacyjnego w Warszawie, w którym byli częstymi gośćmi, łączyli ślepy kult ‚amerykanizmu' oraz nienawiść do Polski Ludowej i jej ustroju z praktyką (...) bandytyzmu."

Ośrodek Informacyjny (niedawno, jak wiadomo, zamknięty przez reżym) pokazywał skazanym „demoralizujące filmy i pornograficzne wydawnictwa amerykańskie, gloryfikujące gangsterstwo i amerykański styl życia". „O kompletnym ogłupieniu zamerykanizowanych opryszków świadczą zeznania oskarżonego Wysockiego, (który) opowiada, że na libacjach (...) nazywano wódkę cocktailami lub coca-colą."

Już sam wygląd skazanych był przestępczy, nosili bowiem amerykańskie mokasyny i w ogóle ubierali się po amerykańsku, co prasa podkreśla z naciskiem.

Wydaje się, że proces ten zrobiono po to, by odstraszyć Polaków od manifestowania swej zachodniości w rzeczach drobnych, jak ubiór a nawet słownictwo. Po procesie na pewno wielu przestało używać słów „cocktail" i „coca-cola". Warto zaznaczyć, że zachodni sposób ubierania się, zresztą w Kraju bardzo kosztowny, od dawna był solą w oku wielu komunistycznych czasopism.

Jednym z „wyczynów" oskarżonych był napad na prof. Janinę Shönbrenner, autorkę książki „Historia Polski". Napadu tego dokonali „pod wpływem audycji Głosu Ameryki, w której szkalowano" tę panią.

Prawdy o politycznym kontekscie afery, o ile w ogóle naprawdę istniał, niesposób dojść. Wydaje się jednak, że skazani, wszyscy młodzi chłopcy, prowadzili swą prywatną, małą wojnę z komunistami, nie zastanawiali się nad moralną stroną swych czynów, nie interesowali się ich mądrością polityczną i — oślepieni rozpaczą, spowodowaną warunkami życia w „ludowej demokracji" — zabrnęli za daleko.

Rozprawa sądowa rzuciła światło na funkcję obrońców. „Starali się (oni) pomniejszyć rolę szajki, wysuwając tezę, że oskarżeni działali przede wszystkim dla korzyści osobistych", a nie dla celów politycznych. Skąd wynika, że bandytyzm nie jest jeszcze zbrodnią w porównaniu z przestępstwem człowieka, któremu np. nie podoba się twarz Bieruta.

HILARY MINC WYJAŚNIŁ...

Na ogólnokrajowej naradzie aktywu partyjnego, administracyjnego i gospodarczego w Warszawie, w październiku bież. roku H. Minc wygłosił referat na temat „Przyczyn obecnych trudności w zaopatrzeniu i środków walki z tymi trudnościami". We wstępie Minc stwierdził, że chociaż „w realizacji planu 6-letniego osiągnęliśmy znaczne sukcesy w uprzemysłowieniu kraju, we wzroście jego siły i kultury i (...) dobrobytu", to jednak „ostatnio przeżywamy trudności w dziedzinie zaopatrzenia ludności w szereg ważnych artykułów", i tak „daje się odczuwać ostry brak mięsa i niedostateczne zaopatrzenie w niektóre inne artykuły". „Z drugiej strony (...) nastąpił (...) wzrost cen rolniczych artykułów (...), jak np. nabiału, jarzyn, ziemniaków". Nie zadając sobie trudu, by pogodzić wzrost dobrobytu z brakiem jednych i drożyzną innych artykułów pierwszej potrzeby, Minc przechodzi do „wytłumaczenia" tych zjawisk. Ich „podstawową przyczyną i podstawowym tłem (...) jest znana dysproporcja między tempem rozwoju przemysłu socjalistycznego, a tempem rozwoju rolnictwa" częściowo jeszcze indywidualnego, drobnotowarowego i kapitalistycznego. Takie rolnictwo „nie może w pełni stosować nowoczesnych maszyn i zdobyczy agrotechniki", pomimo, że „warunki, stworzone przez władzę ludową, stwarzają możliwości znacznie szybszego rozwoju rolnictwa, niż w warunkach kapitalistycznych". Minc nie wyjawia, dlaczego na kapitalistycznym Zachodzie można stosować nowoczesne maszyny i zdobycze agrotechniki.

„Czy nie należy dostosować tempa rozwoju przemysłu do (...) rolnictwa i w ten sposób uniknąć dysproporcji?" zapytuje się Minc i zaraz odpowiada: Nie. Dlatego nie, że „tego rodzaju stanowisko byłoby stanowiskiem błędnym i szkodliwym dla (...) państwa i narodu, dla (...) robotników i (...) chłopów", bo „zahamowałoby rozwój gospodarczy i kulturalny, powodowałoby słabość i zacofanie (...) państwa", co „wystawiłoby je na „agresywne apetyty imperialistyczne". A chłopi nie mają się co skarżyć, twierdzi Minc, bo wiedzą, ile jedli, jak się ubierali i jak się uginali pod ciężarem podatków przed wojną. Teraz przywalił ich ciężar zobowiązań, ale o tym wicepremier milczy, bo podatki i zobowiązania to nie to samo.

Rolnictwo jest więc niesocjalistyczne i stąd trudności. Minc wspominał suszę i zmniejszenie zainteresowania hodowlą trzody chlewnej, przez które powyższa dysproporcja wystąpiła szczególnie ostro w drugiej połowie 1951 r. To wszystko jednak „nie wystarcza na wytłumaczenie tych trudności", które starają się „wykorzystać elementy kułacko-spekulanckie na wsi i elementy kapitalistyczno-spekulanckie w mieście". Te elementy, „korzystając z trudności, dążą do wyrwania się spod kontroli polityki gospodarczej państwa, (...) chcą wyrwać się spod kontroli władzy ludowej, chcą wyśrubować ceny" i w ogóle chcą wszystkiego, co najgorsze. Te niecne zamiary nie udadzą im się, bo Hilary Minc zna ich na wylot. Oto „średniak, który jest centralną figurą naszego rolnictwa (...), ma dwie dusze: duszę człowieka pracującego i duszę drobnego posiadacza (!) i waha się między tymi dwoma duszami". Dlatego „kułakowi udało się na bazie gospodarczej pchnąć gdzieniegdzie część średniaków do naruszenia obowiązków".

Po tych wyjaśnieniach Minc zapowiadał, że odtąd wszystkie zobowiązania wsi wobec państwa muszą być w pełni i terminowo wykonane. „Nie o likwidację kułaka chodzi, a o zmuszenie go do wykonania zobowiązań", dodał, skąd można by wnosić, że postawa chłopów nie pozwala jeszcze na walkę z „kułakami", t.j. takimi chłopami, którzy zatrudniają w swym gospodarstwie kogoś spoza swej rodziny.

LITERATURA NA ROZKAZ

Przed pewnym czasem „The Times Literary Supplement” w specjalnym dodatku, poświęconym obecnemu stanowi literatury światowej, zamieścił artykuł o sytuacji piśmiennictwa za żelazną kurtyną. O wydawnictwie tym wspominaliśmy już w ŻYCIU. Dziś podajemy obszerniejsze streszczenie artykułu o stanie literatury w krajach okupowanych przez Sowiety. Zawiera on sporo interesującego materiału, jakkolwiek nie wszystkie jego twierdzenia i informacje są w pełni sprawdzone.

Anonimowy autor (artykuły w tym tygodniku są z zasady niepodpisywane) podkreśla że na Zachodzie mało się wie o supresji książek, periodyków literackich i domów wydawniczych w państwach satelickich. Wbrew panującej na Zachodzie opinii w krajach tych panowała w okresie międzywojennym wolność polityczna i demokracja. Tendencje totalitarne zaczęły się przejawiać w latach trzydziestych, ale nawet najbardziej autokratyczne reżymy nie ingerowały w dziedzinę literatury. Wszystkie uniwersytety korzystały z wolności. Cenzura, kiedy została wprowadzona, dotyczyła tylko publikacji politycznych. „Żaden przedwojenny dyktator w Europie wschodniej nigdy nie ośmielił się narzucić ograniczeń twórczych powieściopisarzy, dramaturgów czy poetów”. Stowarzyszenia pisarzy, grupy i koterie literackie oraz organizacje międzynarodowe, jak P.E.N. Club, rozwijały się swobodnie. Wydawnictwa zagraniczne, włącznie z rosyjskimi, można było dostać we wszystkich większych miastach. Pisarze mogli pisać, o czym chcieli i jak chcieli.

Obecnie wszystko to uległo zmianie. Rządy satelickie oficjalnie zaakceptowały t.z.w. „dyrektywę Żdanowa” (Zhdanov line) odnośnie do literatury, w myśl której działalność literacka nie może istnieć niezależnie od propagandy rządowej. Pisarze są tylko „inżynierami duszy ludzkiej” zgodnie z definicją Stalina i muszą służyć partii komunistycznej na „froncie kulturalnym”. Są oni, słowami Żdanowa „ideologicznymi robotnikami”, których wydajność jest planowana przez partię jak produkcja węgla czy innych dóbr. Wszyscy pisarze stają się funkcjonariuszami partyjnego wydziału propagandy. Jedyna autoryzowana organizacja pisarzy, ich związek zawodowy (The Writers' Trade Union), jest oficjalnie kontrolowana przez partię. Na kwartalnych lub miesięcznych zebraniach członków delegaci partyjni komunikują normy produkcji (production targets) różnego typu literatury do wykonania w określonym czasie. W ostatnich latach panowała tendencja specjalizowania pisarzy do określonych zadań. Jedni specjalizują się w opisach życia na farmach kolektywnych czy w fabrykach inni w powieściach historycznych. Od ubiegłego roku dużo uwagi poświęca się pisarzom których specjalnością jest opisywanie „dekadencji kultury zachodniej”.

„Moralna degradacja” Wielkiej Brytanii i Ameryki była tematem około jednej trzeciej sztuk wystawionych w Europie wschodniej w 1951 i niemal wszystkich powieści wojennych wydanych w ciągu ostatnich dwu lat.

Otrzymawszy „przydział” tematu pisarz musi zwykle wykonać poruczone mu zadanie na określony termin. Jeśli nie uważa się go za zupełnie pewnego politycznie, musi regularnie donosić o postępie pracy. Po ukończeniu manuskrypt jest przedłożony związkowi do zbadania. Urzędnik partyjny autoryzujący publikację jest wespół z autorem odpowiedzialny za „błędy ideologiczne” które mogłyby się zakraść i dokłada starań żeby nie dopuścić do wydania „wątpliwego” materiału.

Metoda „socjalistycznego realizmu” obowiązująca pisarzy od 1949 r. odnosi się nie tylko do tematu ale także i do strony formalnej. Powieść historyczna, jakkolwiek zadowalająco zniekształcająca fakty, może zostać odrzucona na tej podstawie że autor posłużył się „dekadencką metodą romantyzmu” w opisie swych bohaterów. Za przykład niebezpieczeństw, na które pisarze są narażeni, mogą służyć zmienne koleje powieści historycznej Ilji Ehrenburga „Burza” (? — The Storm”), która w 1948 r. została wydana w tysiącach egzemplarzy we wszystkich państwach satelickich. Reklamowana wówczas przez prasę komunistyczną jako dwudziestowieczny odpowiednik „Wojny i pokoju” jest ona dziś zakazana za wychwalanie pod niebiosa marszałka Tito i jugosłowiańskich partyzantów. „Ehrenburg będzie przypuszczalnie musiał przerobić całą powieść i opisać ruch Tito zgodnie z nową linią partyjną”. Obecnie pisarze obawiają się poruszać tematy związane z walką podziemną. Ostatnio prasa satelicka jednomyślnie zaatakowała „romantyczne podejście pisarzy do problemu miłości”. Ujęcie tego problemu musi być, jak pisze węgierski organ partii, „trzeźwe i super-rewolucyjne (super-revolutionary)”. Należy się wyzbyć romantycznych tendencji które „pachną burżuazyjnym idalizmem”.

Stosowanie się do dyrektywy Żdanowa jest przykrzejsze dla pisarzy środkowej Europy niż dla pisarzy rosyjskich. Pisarze rosyjscy fałszują historię w kierunku do pewnego stopnia pokrywającym się z tradycją narodową, pisarze państw satelickich muszą stosować się do wskazań, które sprzeciwiają się ich tradycjom narodowym. Są oni zmuszeni dawać nie tylko komunistyczną ale zarazem rosyjską interpretację dziejów i życia. Muszą przystosować się bezwzględnie do niższego poziomu kulturalnego, jaki panuje w Sowietach, chwalić i przyznać pierwszeństwo wszystkiemu co rosyjskie.

Władze zwracają baczną uwagę aby nie dopuścić do najlżejszych „odchyleń nacjonalistycznych”. Dzieło, jakkolwiek całkowicie komunistyczne w duchu, może być uznane za „ideowo wadliwe” (defective) jeśli nie wychwala ponad wszystko sowieckiej polityki i życia. Pisarze i krytycy literaccy ukraińscy, włącznie z „znanymi na arenie międzynarodowej pisarzami komunistycznymi Wandą Wasilewską i O. Kornejczukiem, oraz poetą P. T. Tychyną, laureatem stalinowskim”, zostali surowo zganieni za zbytnie opiewanie czarów Ukrainy i niedostateczne podkreślenie „braterskiej pomocy wielkiego narodu rosyjskiego.” Procesowi sowietyzacji i rusyfikacji towarzyszyła intensywna kampania skierowana przeciw pisarzom Zachodu z wyjątkiem kilku komunistycznych. Żaden z zachodnich periodyków literackich nie jest autoryzowany, organizacje pisarzy, które miały kontakty z Zachodem, zostały zlikwidowane. Ten stan rzeczy musi być boleśnie odczuwany, gdyż tradycje literackie Europy środkowej były zawsze bliższe kulturze zachodniej niż rosyjskiej.

Materialnie powodzi się pisarzom lepiej niż na Zachodzie, jeśli cieszą się dobrą opinią w partii. Są oni zwolnieni od wszelkich podatków, są uprzywilejowani pod względem żywności i ubrania, mogą korzystać z tanich sklepów dla dygnitarzy, dostają najlepsze mieszkania i przydziały do najwytworniejszych miejscowości letniskowych, mają prawo do darmowych przejazdów wraz ze swymi rodzinami. Jeden z najbardziej luksusowych zamków w Czechosłowacji jest do dyspozycji związku pisarzy. Wynagrodzenie często przewyższa pensję ministrów. Corocznie przyznawane są hojne nagrody pieniężne, system stypendiów i zaliczek dla początkujących pisarzy oraz subsydiów dla teatrów, kół dramatycznych, radia i filmów rozbudowano nie licząc się z oszczędnościami.

Mimo tych rozlicznych udogodnień większość bardziej znanych pisarzy, włącznie z komunistycznymi umilkła w ostatnich dwu latach. Niektórzy przymusowo, jak nestor literatury węgierskiej Ferenc Herczeg (nb. dobrze znany w Polsce jako autor powieści „Gyurcovicsowie”, entuzjasta urody warszawianek, które po wizycie w Polsce z końcem dziewiętnastego wieku uznał za najpiękniejsze kobiety na świecie), w wieku 93 lat przed trzema miesiącami usunięty ze swego domu i deportowany. Liviu Rebreanu, najlepiej znany z pisarzy rumuńskich, i Elin Pelin, najwybitniejszy powieściopisarz bułgarski, zmarli w nędzy po wielu prześladowaniach i upokorzeniach. Tuwim zniknął z warszawskiej sceny literackiej.*) Frantisek Langer, czołowy pisarz czeski, jakkolwiek proklamowany „pisarzem narodowym” jest również przymusowo bezczynny. Trifon Kunev, najpopularniejszy nowelista Bułgarii na tematy chłopskie, jest w więzieniu od 1946 r. Tsveti Ivanov, może najbardziej obiecujący z bułgarskich esseis'ów, zmarł w ubiegłym roku w obozie koncentracyjnym.

Los znanych komunistycznych pisarzy nie okazał się o wiele lepszy. Czołowy czeski pisarz lewicowy George Mucha został napiętnowany jako amerykański szpieg w czerwcowym procesie amerykańskiego korespondenta prasowego, Wiliama Oatisa. Miron Radu, czołowy komunistyczny poeta Rumunii, przebywa od szeregu miesięcy w zakładzie dla obłąkanych. Maria Banus, wybitna komunistyczna poetka, została gwałtownie zaatakowana przez prasę bukareszteńską za „brak twórczego optymizmu” i „burżuazyjną melancholię”. Weterana bułgarskich pisarzy komunistycznych, Orlina Vassileva, usunięto z prezesury związku pisarzy i zabroniono mu publikować, póki nie odpokutuje przestępstwa, które popełnił przedstawiając Travcho Kostova, powieszonego w 1949 r. za titoizm, jako głównego bohatera walki podziemnej, w swej oficjalnej historii bułgarskiego ruchu oporu. Tylko pisarze, którzy całkowicie podporządkowali się dyrektywom i kontroli partii komunistycznej, mogą obecnie pisać i publikować.

W tych warunkach niezależna literatura narodowa nie może istnieć w żadnym z państw satelickich. „Produkcja na polu literackim” mierzona wydanymi tomami lub wystawionymi sztukami może wzrastać ale niewiele z tych seryjnych produktów ma szanse przetrwania, chyba że kulturalne życie wschodniej Europy pozostanie trwale pod absolutną kontrolą komunistyczną.

(J. S.)

*) *Informacja nie całkiem ścisła (Przyp. Red.)*

SPOŁECZNOŚĆ AKADEMICKA UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO

Wileński Uniwersytet Stefana Batorego, choć dzisiaj może nie tak często wspominany jak U. J., ma przecież niemniej wspaniałą tradycję.

Założony w r. 1579 przez króla Batorego, odtąd nierozdzielnie wplatał swe losy w historię Polski. Żadna uczelnia polska nie cieszyła się tym spokojem, nieprzerwanym rozwojem, co Cambridge czy Oxford, ale koleje U.S.B. wykazują to szczególnie jaskrawo: w zaledwie 75 lat po założeniu uniwersytetu — budynki i zbiory — został zniszczony przez wojska carskie.

Później, po odbudowaniu ledwie Komitet Edukacji Narodowej zdążył zsekularyzować i zreformować uniwersytet, a już nastąpiły rozbiory. Co prawda wtedy właśnie do Społeczności Akademickiej U.S.B. przystąpili jej najwybitniejsi członkowie, Mickiewicz i Słowacki, i wielu mniejszych, ale ciągle jeszcze wielkich uczonych i artystów jak bracia Śniadeccy, Lelewel, Kraszewski, Pol; wtedy powstał związek Filaretów, unieśmiertelniony przez swoje powiązania z arcydziełami literatury polskiej — ale rok 1831, rok powstania listopadowego, przyniósł nowy akt barbarzyństwa Rosji. Uniwersytet rozwiązano, zbiory rozkradziono.

W r. 1939 Rosjanie ponownie „zlikwidowali” U.S.B., tym razem posługując się szowinistami litewskimi. Zlikwidowali — jak na pewno sądzą — na zawsze. Tradycje „Almae Matris Vilnensis” nie zamarły jednak ani na chwilę. Uprawia je bowiem na emigracji grupka członków Społeczności Akademickiej U.S.B., to jest garść dawnych wileńskich profesorów i studentów.

Działalność Społeczności jest bogata. Jako przykład różnorodności wykładów przez nią organizowanych niech posłuży kilka tematów z r. 1950: „Zagadnienia religijne w W. Ks. Litewskim” (doc. dr Wł. Wielhorski), „Wkład Polski do sztuki plastycznej Europy” (cykl wykładów prof. M. Szyszko-Bohusza), „Zagadnienia językowe w W. Ks. Litewskim” (doc. dr Wł. Wielhorski), „Teoria legalizmu w państwach ludowych” (doc. dr K. Grzybowski), „Mickiewicz a socjalizm romantyczny” (dr W. Wajntraub).

Ponadto zaczęto wydawać zeszyty prac, napisanych na obczyźnie przez członków Społeczności. Pierwszy zeszyt, wydany w r. 1949 w dziesięciolecie przerwania normalnej pracy U.S.B., zawiera sprawozdania i dokumenty dotyczące życia uniwersytetu. Drugi, który ukazał się w r. bieżącym, zawiera przede wszystkim obszerną, poważną pracę doc. dr Władysława Wielhorskiego na temat „Litwinów, Białorusinów i Polaków w dziejach kultury W. Ks. Litewskiego”. Poza tym znajdujemy w numerze tym przedruki mów, wygłoszonych na październikowej Inauguracji roku akademickiego. (Obydwa zeszyty są do nabycia w księgarni VERITAS F.P.C., 12 Praed Mews, W. 2.) Należy dodać, że wydawnictwa „Almae Matris Vilnensis” są ilustrowane doskonałymi szkicami prof. Szyszki-Bohusza.

Życie Społeczności Akademickiej U.S.B. zasługuje na troskliwą uwagę społeczeństwa polskiego, przejawia się w nim bowiem najautentyczniejsza kultura.

WACŁAW GRUBIŃSKI — *NIEWINNE NIEDYSKRECJE (4)*

„W KLUBIE” U MIKI

IV. LEŚMIAN — NIEMOJEWSKI

Przed odkryciem geniuszu dawno zmarłego Norwida, Zenon Przesmycki poznał się na talencie poetyckim niepozornego młodzieńca, który dziś jest uważany za jednego z najświetniejszych liryków polskich pierwszej połowy XX w. Mówię o Bolesławie Leśmianie.

Autor „Łąki” w rzeczywistości nazywał się Lesman. Przesmycki biorąc do „Chimery” pierwsze utwory młodego poety lekkim dotknięciem pióra przeistoczył dogłębnie, jeżeli można się tak wyrazić, nazwisko debiutanta. Nad literą „s” postawił kreskę, między litery „m” i „a” wcisnął samogłoskę „i” i nazwisko o brzmieniu banalnym i (przepraszam) obcym nabrało urody polskiej, przemienione w słowo pachnące niejako lasem i tymiankiem.

Własny pseudonim Przesmyckiego myślę, że był mniej udany. Miriam, o ile się nie mylę, jest imieniem wyłącznie niewieścim, niepolskim, i z wyglądem barczystego pana Zenona, mężczyzny o szerokiej twarzy i głowie arbuzowatej, nie bardzo się godziło. Tymczasem Bolesław Leśmian brzmi bardzo po polsku i wybornie podpisuje wiersze, dyszące polskością, pełne, że się tak wyrażę, najprawdziwszej żywiczności polskiej.

Leśmian wychowywał się na wsi i, chociaż był Żydem, ta nasza wieś wsiąknęła weń do szpiku kości, przeniknęła go na wskroś i oto malutki, cherlawy, o potwornie dużym nosie, zbyt małych oczkach niebiesko-fijołkowych w świńskiej oprawie, jasno-rudo-rzadkowłosy, o cerze różowawej z błękitnym podkładem, brzydki Semita stał się wspaniałą membraną naszej plemienności. Nieraz mnie zastanawiał ten psycho-biologiczny, czy jak go nazwać fenomen. Rozmawiałem o tym ze Zdzisławem Kleszczyńskim i obaj pod urokiem poetyckiej polskości Leśmiana, dziwowaliśmy się temu życiowo-literackiemu paradoksowi. Kleszczyński Leśmiana wprost uwielbiał. Sam był poetą wielkiej klasy, jakich mieliśmy niewielu (choć się zatrwonił z iście polską lekkomyślnością). Przy sposobności zaznaczę, że gniewało go (jego rzecz!) wysuwanie Staffa na naczelne miejsce między żyjącymi poetami.

Kiedy poznałem Leśmiana, nie pamiętam. Może na wystawie rzeźb Biegasa w salonie Krywulta. Musiało to być w tamtym czasie, bo Fiszer powiedział u Miki, krytykując kompozycje tego artysty-reformatora, że do fragmentu jednej z nich pozował Leśmian. Przedstawiała Chrystusa nadnaturalnych rozmiarów na tle krzyża, ale z opuszczonymi rękami, nie przybitymi do drewna, z odchylonymi w obie strony dłońmi. Na jednej dłoni Biegas posadził dziewczynkę, chudą, brzydką, na drugiej chłopczyka, również chudego i brzydkiego. Te dwie postacie miały syntetyzować ludzkość.

Fiszer, opisując tę fantastyczną kompozycję rzeźbiarską (pamiętamy, że się to dzieje w okresie symbolizmu) zapewniał, że na jednej dłoni siedzi Teresita Krzymuska, na drugiej Leśmian. Oboje nie odznaczali się urodą w rozumieniu greckim.

Fiszerowi uchodziły dowcipy o Leśmianie, ponieważ się z nim przyjaźnił. Ale kruchy Leśmian był czupurny i obraźliwy. Pewnego razu posłał Niemojewskiemu sekundantów.

Niemojewski zrazu nie zrozumiał tej wizyty. Gdy się od dwóch panów, sztywnych, ciemno ubranych, dowiedział, że ich „mocodawca” czuje się obrażony i żąda satysfakcji, wytrzeszczył oczy za szkłami okularów. Opowiedział nam zaraz wieczorem u Miki przebieg wyzwania.

Rzekł do sekundantów (byli nimi bodaj Przesmycki i Wyrzykowski; ale nie pamiętam), rzekł do nich:

— Wczoraj spędziłem wieczór w cukierni Muecka. Oprócz pana Leśmiana, który przez cały czas milczał, byli obecni: Słoński, Pytliński, profesor Wermiński, Kleszczyński, pani Kleszczyńska, Reymont, Zbrowski z żoną. Nie przypominam sobie, żebym z panem Leśmianem zamienił choćby jedno zdanie w jakiejkolwiek sprawie. „Tak”, odpowiedzieli mi sekundanci, „ale nasz mocodawca czuje się dotknięty pańskim spojrzeniem”. Ach, tak. Przypominam sobie! W pewnej chwili pan Leśmian zapytał mnie półgłosem, dlaczego na niego patrzę. Odpowiedziałem uprzejmie: Ponieważ się pan znajduje na linii mego wzroku. W tym chyba nie ma obrazy? Drażliwość pana Leśmiana przynosi mi zaszczyt i jeżeli będzie nastawał, dam mu satysfakcję z bronią w ręku, przy czym jako wyzwany wybieram pistolety gwintowane z muszką, dziesięć kroków i trzykrotną wymianę strzałów. Ale upoważniam panów do oświadczenia panu Leśmianowi, że go szanuję i że nie postała mi w głowie myśl ubliżenia mu spojrzeniem.”

Na tym sprawa skończyła się. Oświadczenie Niemojewskiego uznał Leśmian za wystarczające i nadal przychodził do Miki.

Niektórzy klubowcy przypuszczali, że podejrzliwość Leśmiana spowodował wojujący antysemityzm redaktora „Myśli Niepodległej”. Istotnie, wojowniczość antysemicka Niemojewskiego stała w owym czasie u zenitu i jej wyraz nie ograniczał się do publicystyki. Autor „Epoki eunuchów pod wodami rzeki Galaad” wygłaszał odczyty naukowe na tematy żydowskie i przetłumaczył i własnym sumptem wydał ogromny tom Józefa Flawiusza w przeświadczeniu, że są to pisma kompromitujące Żydów. Nie były jednak kompromitujące choćby dlatego, że ich nie kupowano. Na tym wydawnictwie Niemojewski stracił. Ale „Myśl Niepodległa” była czytana dość szeroko, dzięki wielkiemu talentowi pisarskiemu jej redaktora. Kto się nie godził z tezami Niemojewskiego, nie mógł nie podziwiać jego wspaniałej prozy i ogromnego temperamentu polemicznego.

„Myśl Niepodległą”, od wstępnego artykułu począwszy, na sprawozdaniach literackich i notatkach politycznych kończąc, wypełniał sam Niemojewski. Z rzadka drukował prace innych pisarzy. Zamieścił kiedyś zjadliwy artykuł młodego Wincentego Rzymowskiego. Był w tym artykule o „nagrobkach czterdziestu polskich nieśmiertelnych” (jeszcze żywych) dwuwiersz o Nowaczyńskim:

Hrabiom i księżom dogryzał,
Gdzie napluł, tam potem wylizał.

W kilka lat później, z właściwą mu lapidarnością, stylem aforystycznym, Rzymowski na łamach „Prawdy” napastliwie scharakteryzował Niemojewskiego jako obłudnika, pajaca i człowieka zbyt zmiennych przekonań.

Po przeczytaniu tego artykułu Niemojewski, wzruszywszy ramionami, powiedział u Miki:

— Nie na wszystko się odpowiada.

I nie odpisał Rzymowskiemu.

Tej samej zasady widocznie trzymał się Rzymowski, bo wiele lat później nie odpowiedział, kiedy go oskarżono o plagiat (po pierwszej wojnie światowej i po śmierci Niemojewskiego).

Wróćmy do Leśmiana.

Pewnego razu zapytał mnie Sieciński, czy bym nie zechciał przeczytać sztuki teatralnej, którą napisał Leśmian.

Nie wiem, jak to się stało, że od początku mojej kariery literackiej uważano mnie za znawcę teatru. Nie sądzę, aby kilka moich artykułów na tematy teatralne mogło usprawiedliwiać tak dobrą o mnie opinię. Wydrukowałem dopiero dwa utwory jednoaktowe („Na rubieży” i „Zacisze”), nie byłem jeszcze wystawiany, nie byłem recenzentem teatralnym, a jednak w kołach literackich traktowano mnie jako człowieka teatru. Czyżby tak przekonywująco brzmiało to, co w rozmowach „klubowych” i nieklubowych zdarzało mi się utrzymywać à propos utworów, granych na scenach warszawskich, czy à propos dramatów przeczytanych? Faktem jest, że kiedy mówiono u Miki o dramacie, komedii czy o grze aktorskiej, zwracano się zaraz do mnie. Antoni Lange dał mi kiedyś do przeczytania rękopis nie skończonej swojej sztuki. Wyznaję, że mnie to zażenowało. Jeszcze bardziej źle się czułem po przeczytaniu tej sztuki. Nic w niej nie było do poprawienia, tak bardzo była adramatyczna, tak całkowicie nie miała nic do czynienia z elementem sceniczności.

A bodźcem do pisania tej sztuki było coś w rodzaju wyrzutów sumienia.

Lange miał być przedstawiony Wisnowskiej. Życzyła sobie zbliżyć się do poety, którego wiersze jej się podobały. A może coś słyszała, że się o niej wyrażał jako o istocie pełnej powabu? Z tonu, jakim Lange mówił o Wisnowskiej, odgadywałem (może błędnie), że się w niej kochał. Że się w niej kochał, choć jej nie znał osobiście. Zaproponowane mu spotkanie z tą uroczą aktorką odkładał dwa razy przez onieśmielenie. Trzecie spotkanie nie zostało urzeczywistnione ponieważ Wisnowską zamordował oficer rosyjski, Bartieniew.

Otóż Lange był przeświadczony, że gdyby się był poznał z Wisnowską, wypadki w jego życiu potoczyłyby się inaczej i do morderstwa by nie doszło.

W jego sztuce o tym założeniu (jak je nazwać: ideologicznym, marzycielskim?) temat wypadł nie powiem nieprzekonywująco: po prostu utwór mi się wydał niedołężny. W słowach najoględniejszych powiedziałem to Langemu. Zacności jego serca zawdzięczam, że się na mnie nie obruszył.

Propozycja Leśmiana (za pośrednictwem Siecińskiego), abym przeczytał jego sztukę, oczywiście, niezbyt mnie ucieszyła. Nie mogłem jednak odmówić.

W dwa dni później spotkałem się z Leśmianem u Miki o takiej godzinie, żeby nie zastać nikogo z „klubmenów”. Zanim mi wręczył duży rulon papierów nie pierwszej czystości, powiedział z ożywieniem, w jakim go nigdy przedtem nie widziałem, że forma jego dramatu jest odmienna od „normalnej”, ale bo też i temat podjął osobliwy. Treścią sztuki jest zagadnienie majątku, zdobywania i posiadania pieniędzy i nawet coś więcej, odsłonięcie metafizycznego oblicza pieniądza i wyjaśnienie, kto ma prawo do pieniądza, prawo nie spekulanckie, bankierskie, lecz transcendentalne.

— Napisałem te dramat w Paryżu, w okresie bolesnej biedy, wręcz nędzy — rzekł. — Niech się pan nie zdziwi, że rzecz jest napisana po rosyjsku.

— Po rosyjsku? W Paryżu?

— Tak się złożyło, że mieszkałem wśród kolonii rosyjskiej. Mówiło się wciąż po rosyjsku. Pan przecież zna język rosyjski?

Podał mi rękopis.

— Chciałbym, żeby mi pan powiedział czy to jest sceniczne, czy to można wystawić w teatrze.

Umówiliśmy się że się spotkamy pojutrze w Udziałowej o godzinie czwartej.

* * *

Przyszedłem trochę przed czwartą. Leśmian już na mnie czekał. Stała przed nim filiżanka po kawie. Był zdenerwowany.

Poprzedniego dnia widziałem się u Miki z Siecińskim i dowiedziałem się od niego, że Leśmian łączy wielkie nadzieje ze swoją sztuką. Ma zamiar złożyć ją w teatrze Rozmaitości i przypuszcza, że wystawienie jej przyniesie mu duże pieniądze.

Siadłem na wąskiej kanapce obok Leśmiana. Rękopis położyłem między nami. Zamówiłem kawę. Leśmian nie spuszczał ze mnie oczu.

To, co mu miałem powiedzieć, nie było, niestety, wesołe, więc zwlekałem z przystąpieniem do rzeczy. Nie wiedziałem, jak mu najłagodniej wytłumaczyć, że nie wyobrażam sobie, aby jego sztukę przyjęto do wystawienia w jakimkolwiek teatrze. Miałem sobie jednak za obowiązek powiedzieć to co myślę. Mogę się mylić, oczywiście, ale muszę mówić, co myślę. Zawsze miałem tę pasję w rzeczach sztuki. Obrażali się na mnie przyjaciele, sztywnieli znajomi, znosiłem to heroicznie, bo odosobnione nawet skłamanie w tych wypadkach prowadziłoby do wwikłania się w kłamanie samemu sobie, a to by oznaczało sprzeciwienie się własnej osobowości; nie tylko sprzeniewierzenie się coś znacznie gorszego! Nie miałem zamiaru wyrzekać się siebie. Ani wybuchy Nowaczyńskiego, obrażanie się Perzyńskiego, listy ze zrywaniem znajomości od Gorczyńskiego, melancholie zacnego Jana Adolfa Hertza, dość prostacze gniewy Kiedrzyńskiego, spory Konczyńskiego, wytrzymałem brawurowo. Po czym listy ze zrywaniem anulowano, gniew i gorycz bywały mi zapomniane i następował powrót do dobrych stosunków. Przyjaciele i znajomi nauczyli się rozumieć moją bezkompromisowość przy rozpatrywaniu utworów literackich, choć nie bywali zachwyceni, ilekroć podkreślałem to, co w ich utworach wydawało mi się niedoskonałe.

— Przeczytał pan? — zapytał retorycznie Leśmian.

— Udała się panu rzecz niezwykła — odrzekłem.

Leśmian się we mnie wpatrywał, a ja potoczyłem wzrokiem po kawiarni i komuś się ukłoniłem.

— Udało się panu, co Arystoteles uważał za niepodobieństwo. Pamięta pan — ciągnąłem — Arystoteles utrzymuje, że nie można sobie wyobrażić materii bez formy i formy bez materii.

— Co?

— Że formy i materii nie można rozdzielić. Otóż, panie Bolesławie, pańska sztuka jest tylko forma. Treść jest w niej nieuchwytna. W pańskiej sztuce jest działanie się, ale nie ma tego, co się dzieje. Jak pan to zrobił?

Leśmian poprawił się na kanapce. Był zaskoczony.

— Pan myśli, że... — nie skończył zdania, którego sensu się domyślałem.

— Nie sądzę, żeby publiczność teatralna, a przedtem jeszcze żeby reżyser mógł sobie zdać sprawę, jak wystawić, jak wyreżyserować tę nieuchwytność.

— Uważa pan, że sztuka jest niesceniczna?

— Najzupełniej.

Po chwili ciężkiego namysłu Leśmian rzekł smutnie:

— Ja również przypuszczałem, że to jest nieteatralne.

I dodał jeszcze smutniej:

— Szkoda. Od trzech dni zaczęło mi się roić, że zrobię majątek na tej sztuce. Że się ją przetłumaczy na obce języki... Mówmy o czym innym.

* * *

Po roku 1918 zaczęło się Leśmianowi powodzić: otrzymał rejenturę w Zamościu. Widywałem go od przypadku do przypadku, gdy odwiedzał Warszawę.

Był dobrze ubrany i pogodny. O poetach Grydzewskiego, t. zw. skamandrytach, którzy zwartą kolumną ruszyli w bój o rozgłos, wyrażał się lekceważąco. Pewnego razu mi powiedział:

— Byłem wczoraj w kawiarni Ziemiańskiej. Wchodzi Wierzyński, zbliża się do mnie i woła kordialnie: „Cieszę się, że pana widzę!” Zmierzyłem go od stóp do głów i powiedziałem: „Myli się pan! To ja się cieszę, że pana widzę. Może pan usiąść”.

Taka to była rogata dusza.

Ale wolno mu było być hardym, bo talent miał wielki, jeden z największych dwudziestego półwiecza. Przyszły historyk literatury polskiej i krytyk z prawdziwego zdarzenia drobne rauciki poezji tego okresu oddmuchnie na plan dalszy, a trzy lub cztery brylanty ustawi na naczelnych miejscach. Będzie między nimi Leśmian.

Wacław Grubiński

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA 16 grudnia 1951 r.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

KSIĄŻKI POLSKIE

PROBLEM OFIARY *)

Książę Poniatowski z pierwszej noweli, „Strzały za horyzontem", odbija swym światopoglądem i uczciwością od innych oficerów A.K. i przedstawiony jest przez autora wyraźną sympatią: jego ofiara z życia jest właśnie podkreśleniem moralnej wartości środowiska. Książę tęskni boleśnie do przyjaźni. Żona i synowie są mu obcy. Spotkanie z oficerem A.K. Ordonem — to znalezienie człowieka, na którego czekał. „Świat zna tylko jedną przyjaźń prawdziwą — przyjaźń krzyża" — mówi Ordon i książę wie, że drogę do swych serc znajdą tylko przez ofiarę najwyższą. Ordon walczy w osaczonej Warszawie, książę dostaje rozkaz marszu ze swym oddziałem na pomoc miastu, lecz nie danym mu jest dotrzeć do stolicy: Niemcy rozbijają oddział. W ucieczce w ich ręce dostaje się trzech ludzi z oddziału Franciszka. Za tych właśnie ludzi książę oddaje swe życie. Są to ludzie źli, bez wartości, lecz fakt ten właśnie nadaje ofierze księcia ton bolesny i pełny.

Druga nowela Dobraczyńskiego przedstawia ofiarę, którą autor zdaje się uważać za heroiczniejszą od ofiary księcia. Ofiara księcia jest zaszczytna, lecz nie najtrudniejsza, bo jednorazowa. Wyrzeczenie się miłości przez Stefana i Teresę z noweli drugiej — to ofiara powszedniejsza, lecz o ile boleśniejsza, trudna, uwikłana w codzienną, złą walkę. W objęciach miłości tych dwojga wszystko przemawia za grzechem: i beznadziejność czekania Teresy na męża w Oflagu, uwikłanego zresztą w fatalny kompleks „wrześniowca", i miłość Stefana. Motto z listu św. Pawła: „Błogosławiony, który w tym, co za dobre uznaje — siebie samego nie potępia" — jest obrazem walki tych dwojga, których miłość wydaje się jedynym rozwiązaniem, jedynym godnym zakończeniem sprawy.

Trzecia nowela, „Największa miłość", dotyka ofiary już niemal mistycznej. Tłem opowiadania są dzieje księdza, który ucieczkę z obozu i ocalenie uważa za dar szczególnej łaski, chce zerwać z małością życia i realizuje w ofiarnej, pełnej straszliwych wyrzeczeń się pracy w parafii na Ziemiach Odzyskanych swe idee. Lecz z czasem praca szarzeje, męczy samotność. Ksiądz Józef pragnie przyjaźni i znajduje ją. Jest to sprawa zła: przyjaźń przeradza się w miłość. Anna, kobieta, która go uratowała, gdy stanął na progu jej domu w więziennym pasiaku, która ratowała go z samotności, musi teraz ratować go z miłości ku sobie. I Anna wyrzeka się miłości dla dobra księdza. Lecz ks. Józef nie chce ofiary: uwikłany w sprzeczności swej duszy, zrozpaczony samotnością wie, że pozostała mu tylko Anna. Doprowadzony do progów grzechu, zostaje uratowany dzięki zewnętrznemu wypadkowi: wzywają go do umierającego. Porzuca wszystko i idzie. Umierającą jest czternastoletnia dziewczyna, która dziś jeszcze, spowiadając się u niego pytała dziwacznie: „Czy można ofiarować Bogu niespełniony grzech?" Ów grzech chciała ofiarować za człowieka, który ją napastował, gdyż obiecał jej, że stanie się lepszym. Człowiek ten zamordował ją. Wstrząsający jest obraz śmierci tej małej świętej — niby dwunastoletniej świętej Marii Goretti — która śmierć swą ofiarowuje za zabójcę. Ks. Józef wie, iż łaska umierającej spłynęła na niego. Owa najwyższa miłość, która pozwala zwyciężyć zło, została mu już dana.

Droga człowieka, uwikłanego w grzech, jego walka, jego ofiara — te wszystkie bolesne i szarpiące duszę problemy — przedstawione są subtelnym piórem Dobraczyńskiego na tle wydarzeń wojny i okresu wczesnej odbudowy Kraju. Ludzie jego są naturalni i bliscy i ich ostateczna ofiara i wyrzeczenie wydają się nam możliwe, jakkolwiek niewątpliwie jest w nich pierwiastek niezwykłości i osobistego heroizmu.

Dobraczyński, pisarz głęboko katolicki, walczy o duszę ludzką w czasach pogardy człowieka, chce ją wyzwolić z zapatrzenia się w siebie, z samotności. „Nie myślcie tyle o samotności, a nie będziecie czuli się samotni. Człowiek nie jest samotny, gdy daje".

Opowiadania Dobraczyńskiego zdają się świadczyć, że droga do dobra, droga do świętości prowadzi nawet przez grzech. Że grzech, czy pokusa, czy zło, które stanie na drodze człowieka — to konieczność, z którą trzeba walczyć. Od nas samych zależy wynik tej walki.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

*) Jan Dobraczyński: „Największa miłość". Sp. Wyd. „Pax" — Warszawa 1950.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA OBCE

LISZT O JĘZYKU POLSKIM. Znany kompozytor Liszt pozostawał nie tylko w osobistej przyjaźni z Chopinem, ale zetknął się na gruncie Paryża także z wielu innymi Polakami i Polkami, przebywającymi na emigracji. W swej książce o Chopinie, pisanej w Weimarze w r. 1850, Liszt wypowiada interesujące uwagi na temat języka polskiego.

Chopin — pisze — znajdował głęboką przyjemność w używaniu swego języka ojczystego. „Podobnie jak większość Słowian mówił doskonale po francusku... ale nie dbał o to i uważał język ten za niedostatecznie dźwięczny, a z ducha zimny. Polacy przeważnie są tegoż zdania; choć mówią po francusku bardzo płynnie, często nawet lepiej niż swym językiem ojczystym i choć nieraz posługują się francuszczyzną w rozmowach z rodakami — to przecież uskarżają się wobec osób niemówiących po polsku na niemożność wyrażenia w jakimkolwiek innym języku, poza polskim, tysięcy eterycznych i zmiennych odcieni myśli.

„Sądzą oni — ciągnie Liszt — że językowi francuskiemu brak niekiedy godności, niekiedy wdzięku, niekiedy wreszcie namiętności. Jeśli ich zapytać o znaczenie jakiegoś polskiego słowa, którego właśnie użyli, odpowiadają niezmiennie: „O, tego nie można przełożyć!" Następują wyjaśnienia i komentarze na temat wszystkich delikatności, subtelności i odcieni znaczenia tych słów, które „nie mogą być przetłumaczone".

Liszt pisze to wszystko bez żadnej ironii. I dla niego język polski, który w części poznał, pełen jest „niespodziewanych głębi i lakonicznej energii".

„Dzięki subtelnym i lekkim elementom języka polskiego — zauważa nieco dalej — Polki mogą przybierać ten przeciągły, śpiewny akcent, jaki zwykle przenoszą do innych języków. Jeśli temat jest poważny i melancholijny, przybierają one, po niezbędnej tyradzie lub improwizowanych lamentach, coś na kształt sepleniącego, dziecinnego sposobu mówienia, który urozmaicają lekkim, srebrzystym śmiechem, lekkimi okrzykami lub wykrzyknikami oraz krótkimi muzycznymi pauzami o wyższej tonacji, skąd znów zjeżdżają nie wiadomo jaką chromatyczną skalą półtonów i ćwierćtonów, póki nie spoczną na jakiejś niskiej nucie, — i znowu stosują zmienne, nagłe i oryginalne modulacje będące niespodzianką dla ucha nieprzyzwyczajonego do tego uroczego szczebiotu, któremu niekiedy nadają ton pieszczotliwej ironii i chytrego kpiarstwa, właściwego śpiewaniu pewnych ptaków... W tym uroczym szczebiotaniu znajdujemy czarujące zmiany, pikantne przerwy i nieoczekiwane kadencje, które w ustach kobiet czynią język polski o wiele delikatniejszym i pieszczotliwszym niż w ustach mężczyzn".

Niedawno pojawiło się nowe wydanie angielskiego przekładu książki Liszta, z której przytaczamy te wyjątki („Life of Chopin", Reeves, cena 10/-).

SPŁONĘŁA STARA BIBLIOTEKA. Wojna domowa w Hiszpanii była nie tylko dotkliwym upływem krwi, ale zniszczyła także wiele dóbr kulturalnych — choć oczywiście nie przyniosła pod tym względem takich spustoszeń, jakie druga wojna światowa i okupacja niemiecka wyrządziły w Polsce. Ostatnio kultura hiszpańska poniosła nową stratę: kilka tygodni temu spłonęło prawie doszczętnie opactwo benedyktyńskie San Julien de Sambe w miejscowości Sarria w Galicji, ufundowane w VIII wieku. Zniszczeniu uległa też biblioteka opactwa licząca 40.000 tomów, w tym wiele białych kruków, zwłaszcza inkunabułów. Uratować zdołano tylko małą część księgozbioru.

POCHWAŁA GÓRNIKÓW POLSKICH W ANGLII. „The Listener" ogłasza streszczenie prelekcji radiowej S. Pollocka na temat pracy cudzoziemców w brytyjskich kopalniach węgla. „Polacy — mówił Pollock — są weteranami wśród górników nie-Brytyjczyków i zażywają doprawdy bardzo wysokiej reputacji jako robotnicy. Jugosłowianie cieszą się do pewnego stopnia tą samą reputacją co Polacy wśród naszych górników, zarówno dla swej pracy, jak i dla swego „stylu". — Ostatnio szkoli się dla pracy w górnictwie pewną ilość przybyłych do W. Brytanii Włochów.

„Od r. 1931 — stwierdził prelegent — zyskaliśmy więcej ludzi przez imigrację z Europy i skąd inąd niż straciliśmy przez emigrację; czysty zysk wynosi 500.000 osób".

TOYNBEE ZA „KOEGZYSTENCJĄ". Cykl przemówień radiowych „A Settlement with Russia?" w „European Service" B.B.C. zakończyła prelekcja Arnolda Toynbee, autora głośnej książki o życiu, rozwoju i upadku cywilizacji („A Study of History"). Na zapytanie, czy świat zachodni i świat komunistyczny mogą żyć obok siebie w pokoju, Toynbee odpowiada twierdząco. „Modus vivendi" między obu światami, jego zdaniem, nie może polegać na żadnych formalnych paktach dobrego sąsiedztwa, ale na milczącej determinacji obu stron nie popadnięcia w wojnę „strzelającą" („shooting war") ze stroną drugą. Koegzystencja ta — stwierdza Toynbee — będzie rzeczą trudną, ale w przyszłości nadejść jeszcze może okres, kiedy świat anglosaski będzie patrzył z nadzieją na Rosję, jako na zasłonę przed rodzącym się niebezpieczeństwem azjatyckim. Poza tym Toynbee jest przeciwny wojnie z Rosją Sowiecką między innymi dlatego, że zwycięskie przypuszczalnie Stany Zjednoczone uzyskałyby w świecie zbytnią przewagę, co „niebyłoby zdrowe ani dla świata, ani dla samej Ameryki".

Zagadnienie narodów, ujarzmionych przez komunizm sowiecki, w szczególności narodów Europy Środkowo-Wschodniej, zdaje się dla Toynbee'go zupełnie nie istnieć. We wspomnianym cyklu wykładów poruszyli to zagadnienie — jak już wspominaliśmy — tylko E. Crankshaw i D. Woodruff, w postaci zresztą ostrożnej.

CO WIE KAŻDE DZIECKO W SOWIETACH. Moskiewska „Litieraturnaja Gazieta" ostro skrytykowała Państwowy Litewski Instytut Wydawniczy za komentarze, jakie ukazały się w niedawno opublikowanym przekładzie na język litewski jednego z humorystycznych utworów Marka Twaina. W objaśniających dopiskach do tego przekładu podano m.in., że James Watt był wynalazcą kotła parowego, Arkwright wynalazcą wrzeciona, a Morse telegrafu elektrycznego.

„W naszym kraju — zauważa na to „Litieraturnaja Gazieta" — każdy uczeń wie, że wynalazcą kotła parowego był Iwan Iwanowicz Polzunow, że pierwsze wrzeciono wynalezione zostało przez Rodiona Glinkowa i że na długo przed Morsem stworzony został telegraf przez wynalazcę rosyjskiego Pawła Lwowicza Szylinga i udoskonalony później przez Borysa Siemienowicza Jakobiego".

Równocześnie Dom Wydawniczy Pisarzy Sowieckich ogłosił zbiór studiów o Lermontowie, poświęcony głównie wykazaniu, że Lermontow wbrew rozpowszechnionym poglądom nic zawdzięczał niczego zachodnioeuropejskim wpływom literackim.

LAGERKVIST LAUREATEM NOBLA. Nagrodę literacką Nobla za rok 1951 otrzymał Par Lagerkvist, poeta, dramaturg i powieściopisarz szwedzki, znacznie więcej znany we Francji, niż w świecie anglosaskim. Lagerkwist urodził się w r. 1891, liczy więc obecnie lat sześćdziesiąt; pochodzi z ubogiej rodziny kolejarskiej. Już wczesne utwory jego przepojone są atmosferą religijną. W przeciwieństwie do współczesnych sobie pisarzy, przede wszystkim Strindberga, Lagerkvist nie poruszał w utworach swych zagadnień społecznych; interesowały go zawsze przede wszystkim indywidualne przeżycia duchowe.

W latach 1912—1913 przebywał w Paryżu i odtąd datują się jego bliskie związki z kulturą francuską, choć utwory jego posiadają piętno zupełnie indywidualne.

We Francji dużym powodzeniem cieszą się przekłady dwóch jego wybitnych książek: „Barabasza" („Barabbas") i „Karła" („Le Nain").

NOWA POWIEŚĆ MAURIACA. Mauriac, który po dziesięciu latach przerwy powrócił znów do powieściopisarstwa, stworzył już w tym zakresie, po „Le Sagouin", nową rzecz. Tym razem nie jest to powieść współczesna; są to dzieje Leonory Galigai, żony „maréchal d'Ancre" Conciniego, która została spalona na stosie jako czarownica. Rzecz dzieje się w małym miasteczku w Gironde.

Nowa powieść Mauriaca ma znów charakter przede wszystkim psychologiczny.

ALBUM MARSZAŁKA PETAINA. Prasa francuska i wydawcy doszli widocznie do wniosku, że z chwilą śmierci Pétaina można sobie pozwolić na nową falę kultu marszałka, o którym tak głucho było przez pięć lat powojennych. Ostatnio nakładem Editions Andre Bonne ukazał się „L'Album du Maréchal Pétain", zawierający liczne fotografie pochodzące z prywatnego albumu Pétaina. Tekst napisali Jérôme i Jean Thauraud, członkowie Akademii Francuskiej, generał Weygand, również członek tej akademii, Jean Tracou, były dyrektor gabinetu marszałka, oraz ksiądz dziekan Bailly, proboszcz wyspy Yeu, na której Pétain spędził jako więzień ostatnie lata swego życia.

KŁOPOTY PRODUCENTA FILMOWEGO. Jak donosi prasa amerykańska, jedna z wytwórni hollywoodskich przygotowuje film o prezydencie Roosevelcie. Stanley Kramer, reżyser tego filmu, stanął jednak przed trudnym zagadnieniem znalezienia aktora, który by miał warunki zewnętrzne, odpowiednie dla grania głównej roli. Rozpoczęto poszukiwania przy pomocy ogłoszeń — i oto w dwa dni później do p. Kramera zgłosił się człowiek zdumiewająco podobny do zmarłego prezydenta. W parę dni później było już dwudziestu kandydatów do tej roli, a pod koniec tygodnia aż dwustu dwunastu.

Kramer, nie wiedząc co począć z tą nawałą, zdecydował się powierzyć rolę któremuś z imitatorów zawodowych i rozpoczął poszukiwania wśród aktorów rewiowych i kabaretowych. Rezultat był znów oszałamiający; okazało się, że istnieje aż 170 „Rooseveltów", wygłaszających w różnych teatrzykach monologi i śpiewających piosenki, przeważnie patriotyczne.

Jak p. Kramer wybrnie z kramu, w który zabrnął, niewiadomo. Podobno na razie machnął ręką na „Rooseveltów" i rozpoczął poszukiwania aktorki, która by mogła grać rolę pani Rooseveltowej.

„MAKBET" W TŁUMACZENIU ANOUILHA. Znany pisarz francuski Jean Anouilh dokonał nowego przekładu szekspirowskiego „Makbeta". W tej postaci „Makbet" wystawiony będzie po Nowym Roku w paryskim teatrze „Antoine", gdzie obecnie grana jest sztuka Sartre'a „Le Diable et le Bon Dieu". Rolę lady Makbet obejmie Mlle Monelle Valentin, która w życiu prywatnym jest obecnie panią Anouilh. Makbeta grać będzie Pierre Brasseur, obecny wykonawca głównej roli w sztuce Sartre'a.

ELIOT DOKTOREM HONOROWYM SORBONY. Uniwersytet Paryski przyznał stopnie doktorów honorowych 11 wybitnym jednostkom, pochodzącym z ośmiu różnych krajów. Znalazł się wśród nich poeta, dramaturg i essayista angielski T. S. Eliot, oraz dr Torres Bodet, dyrektor generalny Unesco.

MARX I CHŁOPI. Ukazała się w Londynie praca D. Mitrany'ego „Marx against the Peasant" (Weindenfeld and Nicolson, cena 25 s.). Zajmuje się ona stosunkiem Marksa i jego następców ideowych do zagadnienia chłopów jako warstwy społecznej i czynnika gospodarczego. Mitrany w dalszej części swej książki zajmuje się położeniem chłopów i gospodarki rolnej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej w dwudziestoleciu międzywojennym. Stwierdza, że mimo przeprowadzonych reform rolnych i mimo wpływu, jaki stronnictwa chłopskie wywierały na politykę swych krajów, warstwa chłopska grzęzła na ogół nadal w nędzy.

Mitrany nie podaje całkiem jasnego wyjaśnienia tego stanu rzeczy; próbuje go w tym wyręczyć recenzent „Times Literary Supplement", który utrzymuje, że uzdrowienia stosunków agrarnych w Europie Środkowo-Wschodniej, bez względu na panujący tam reżym dokonać można tylko przez powiększenie obszaru jednostek rolnych czy to w drodze spółdzielczości, czy kolektywizacji, czy też w inny sposób, oraz przez „postępową mechanizację". W obecnej sytuacji rada taka, której merytoryczna słuszność (poza sprawą mechanizacji) jest w ogóle bardzo wątpliwa, równa się poparciu narzucania „kołchozów" w Polsce i innych krajach tej części Europy.

PLASTYKA

W Instytucie Sztuk Nowoczesnych (Institute of Contemporary Art, 17, Dover Str. W.1.) odbył się 26 listopada odczyt p.t. „Sowiecka postawa względem sztuki") („The Soviet Attitude to Art"), który wygłosił profesor Władimir Kiemienow, członek-korespondent Akademii Sztuki Z.S.S.R. Odczyt był wygłoszony po rosyjsku; każde zdanie było tłumaczone na angielski przez sekretarkę, któreej narodowość określała się na podstawie wyglądu bez pudła. Słuchacz, orientujący się w sztukach plastycznych i w sztuce propagandy, nie mógł się nadziwić pierwotności pojęć (mniej grzecznie: ignorancji) profesora w zakresie pierwszego przedmiotu i nieporównanemu mistrzowstwu w zakresie drugiego. Odczyt odbywał się w sali zawieszonej obrazami Picassa. Ponieważ wynikało z tez prelegenta, że realizm socjalistyczny" jest jedyną postawą w sztuce, którą uznaje kraj największego postępu materialnego i duchowego — Rosja sowiecka, ciekawe było co odpowie profesor na pytanie jednego ze słuchaczy: „Jaka jest opinia prelegenta o obrazach, wiszących za nim?" (Obrazy Picassa wisiały na ścianie z tyłu za prelegentem). „Jako istota ludzka (czełowieczeskoje suszczestwo) mam oczy z przodu, a więc nie mogę mówić o rzeczach, które wiszą za mną" — pada odpowiedź, powitana grzmotem oklasków 3/4 audytorium, zmontowanego zawczasu w takiej właśnie proporcji. Ale okazało się z toku dalszej dyskusji, że profesor nie poznał obrazów Picassa jako takich. Gdy wyszedł na jaw ten fakt krępujący (przecież Picasso zadeklarował się jako komunista), audytorium zostało poinformowane przez prelegenta, że Picasso jest „postępowym społecznie" mistrzem Zachodu, mistrzem, który umie rysować „gramotno" gdy chce, a czego nie potrafią jego naśladowcy, wyznający kapitalistyczno-burżuazyjny światopogląd.

Jedna ze słuchaczek, Angielka, zapytała: „Jak zapatruje się prelegent na takie dzieła socjalistycznego realizmu, jak np. obraz przedstawiający Stalina, rozdającego nagrody jego imienia artystom?" „Takiego obrazu wogóle nie ma, bo Józef Wisarjonowicz Stalin nigdy sam nagród swego imienia nie rozdaje". Oklaski. Aliści, książka z reprodukcją takiego właśnie obrazu wędruje do katedry prelegenta. „No, tu przecie Stalin nie rozdaje nagród artystom, ale zupełnie inne..." Reprodukcję tego obrazu widzieli wszyscy zgromadzeni artyści angielscy. Ponieważ poziom artystyczny dzieła nie mógł nastręczać wątpliwości, poprosiłem po rosyjsku prelegenta, aby zechciał uprzejmie streścić opinię swoją o tym obrazie z artystycznego punktu widzenia. Oto mistrzowska odpowiedź: „No, obraz ten był malowany 16 lat temu. Od tego czasu wiele zmieniło się u nas. Dziś tworzymy rzeczy doskonalsze. Ale nawet gdybyśmy popełniali błędy — to postawa naszych twórców, jak i całej ZSSR, jest postawą zwróconą w przyszłość i hasłem naszym — postęp!" Grzmot oklasków.

Przewodniczący Instytutu (i zebrania), znany krytyk angielski Herbert Read, podziękował prelegentowi za odczyt, który „był momentem współpracy kulturalnej między U.K. a Z.S.S.R...." Komentarze — Czytelnikom.

::::::

Memu łaskawemu Czytelnikowi z Brighton odpowiadam na zapytanie dotyczące wystawy akwarel Seago w Colnaghi Gallery (14 Old Bond St.), że jest to pokaz typowych bezinwencyjnych prac angielskich, opartych na popisie zręczności technicznej, pozbawionej wszelkiej autentyczności twórczej. Anglicy nigdy nie nazywają akwarel „paintings". Ich nazwa: „Water Coulours". Natomiast w tejże galerii, w przedsionku, wiszą oryginalne akwaforty Rembrandta — szczytowe arcydzieła wizji europejskiej w tej dziedzinie. Takie prace jak „Zaśnięcie Najświętszej Panny", „Syn Marnotrawny" i „Polowanie na Lwy" — to dzieła o nieprześcignionej doskonałości.

W pobliżu, w Del Banco Gallery przy Cork St., jest szereg wartościowych obrazów mistrzów francuskich XIX w., n.p. świetny Courbet — „Morze", dzieło zapewne największego marynisty w sztuce europejskiej w w. XIX. (Przypisywanie podobnego tytułu Ajwazowskiemu ze szkoły rosyjskiej jest ignoranckim nieporozumieniem).

W New Burlington Gallery są dwie wystawy: Bernarda Meninsky'ego i Jankiela Adlera. Pierwsza jest pokazem prac niedawno zmarłego profesora Royal College of Art, na średnim poziomie (są tam zreszaą często wartości rzetelne). Druga wystawa jest jedną z najdonioślejszych w ostatnich miesiącach. Poświęcamy jej osobny artykuł w następnym N-rze Życia. Obok, w Redfern Gallery, — szereg świetnych litografii Rouault'a i kilku Anglików na poziomie.

MARIAN BOHUSZ-SZYSZKO

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

NOWA OPERA ANGIELSKA

Dnia 1 grudnia odbyła się w teatrze Covent Garden uroczysta premiera nowej — czwartej z rzędu — opery Benjamina Brittena „Billy Budd". Wszyscy prawie recenzenci uważają wystawienie tej opery za wielkie wydarzenie w dziejach muzyki angielskiej i życia teatralnego w Londynie. „Observer" pisze nawet o tym jako o „najważniejszym wydarzeniu muzycznym od końca wojny".

Libretto do opery napisali E. M. Forster, znany pisarz, autor „A Passage to India", oraz Eric Crozier. Libretto to oparte jest na opowiadaniu Hermana Melville'a o życiu na jednym z brytyjskich okrętów wojennych w epoce Nelsona. W operze nie ma ani jednej roli kobiecej.

Britten pracował nad „Billy Buddem" przez trzy lata z górą. Rolę tytułową śpiewał młody baryton amerykański Theodore Uppman, rolę kapitana okrętu „Indomitable", na którym akcja się rozgrywa, Peter Pears, tenor, który wykonał kierownicze role w poprzednich operach Brittena i jest osobistym przyjacielem kompozytora. Wreszcie rola „czarnego charakteru" przypadła F. Dalbergowi.

Publiczność przyjęła nową operę entuzjastycznie.

O SZKOŁY KATOLICKIE

Kardynał Griffin ogłosił list pasterski, w którym podkreśla konieczność rozbudowy i ulepszenia sieci szkół katolickich w Wielkiej Brytanii.

„Wystarczy — głosi list — byśmy spojrzeli a to, co się dzieje w rządzonych przez komunistów państwach Europy Wschodniej, w których państwo przejmuje szkoły katolickie i zmusza rodziców, by oddawali swe dzieci do szkół państwowych z ich świeckim wyłącznie wychowaniem, — aby stwierdzić, jak łatwo uczniowie i uczennice stać się mogą tylko narzędziami w rękach wyzbytych ze skrupułów polityków.

„Dziękuję Bogu, że w tym kraju uznawane jest prawo rodziców do wyboru szkoły zgodnie ze swym sumieniem, a także prawo wyznań religijnych do ustanawiania szkół dla ich członków. Dotąd jednak nie uznany został postulat, jaki stawiamy płacąc podatki na równi z innymi, a który głosi, że wolność wychowania winna oznaczać w myśl sprawiedliwości, że każde dziecko powinno otrzymywać równe sposobności i równą pomoc finansową, bez względu na to, czy uczęszcza ono do szkoły państwowej, czy też szkoły, opartej na wysiłku społecznym (voluntary school). W systemie wychowania przymusowego winna być niewątpliwie uznana słuszność tego postulatu, wynikająca z prawa rodziców do wyboru szkoły zgodnie z własnym sumieniem".

W ciągu najbliższych lat trzydziestu Kościół katolicki w Anglii i Walii będzie musiał wydać na budowę nowych szkół katolickich 50 milionów funtów.

O UNIWERSYTET „NAUKI STOSOWANEJ"

Na ostatnim posiedzeniu Royal Society — instytucji, której celem jest koordynacja całej twórczości i działalności naukowej w Wielkiej Brytanii, nie wyłączając spraw technicznych, — lord Portal, do niedawna szef badań nad energią atomową w W. Brytanii, wystąpił z postulatem jak najszybszego powołania do życia czegoś w rodzaju uniwersytetu „nauki stosowanej" czy technologii. Lord Portal stwierdził, że choć uczeni brytyjscy wybili się na czoło badań w zakresie fizyki, brak jednak wyszkolonych „technologów", którzy by te nowe odkrycia potrafili zastosować w życiu. „W zakresie energii atomowej — mówił lord Portal — niedostateczna ilość technologów o wysokich kwalifikacjach jest jednym z głównych czynników ograniczających tempo naszego postępu w tej dziedzinie". Podobnie, zdaniem mówcy, jest w innych dziedzinach. Zaradzić temu może tylko powstanie uniwersytetu, wychowywającego specjalistów tego typu, którzy posiadaliby odpowiednie właściwości umysłowe.

Na łamach „Observera" w tym samym kierunku wypowiada się J. Bronowski. Przypomina on, że w ciągu ostatnich czterech lat Wielka Brytania zdobyła nagrodę Nobla w zakresie fizyki trzykrotnie. Wszyscy laureaci byli fizykami „atomowymi", — niemniej praktyczne zastosowanie tej wiedzy w kraju pozostaje daleko w tyle.

PAMIĘTAJ o KATOLICKICH NAGRODACH LITERACKICH

Ś † P

ANTONINA Z KACZANOWSKICH
RYSZARDOWA JASKOLD GABSZEWICZOWA

Długoletnia Członkini i Dobrodziejka
Instytutu Marianum

Opatrzona Św. Sakramentami zasnęła w Bogu po długich cierpieniach w uroczystość Opieki Matki Boskiej Ostrobramskiej 18 listopada 1951 r. w 77 roku życia w Kraju.

Nabożeństwo żałobne w Londynie odbyło się w Brompton Oratory przed ołtarzem Matki Boskiej Zwycięskiej z Kozielska we środę 5 grudnia o g. 9.30.

RODZINA

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly. ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1; w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 15, rue Godefroid de Bouillon, Bruxelles 3 — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo maja „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2, i Księgarnia „Wiedza" Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suise, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 $., pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Detroit 7 Michigan 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press. 12, Praed Mews London W.2. Tel: PAD 9734